



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GEÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

SPOKÓJ.

(Z poematu Heine'go *Nordsee* przekład A. Mielezki.)

Słońce promieniało na niebios błękiecie,
Po którym pierzchały zbląkane obłoki.
Morze było ciche, a ja na pokładzie
Okrętu leżałem, pogrążon w marzeniach.
Aż w tym śnie, czy jawie, ujrzałem Chrystusa.
W białej, długiej szacie szedł ziemią i morzem,
Podniesionem czołem dosięgał zenitu,
Rozpostarte ręce wyciągał nad światem,
A w miejscu serca miał w piersi swojej słońce:
Płonące, czerwone — gorejące słońce.
A to krwawe serce, serce Zbawiciela,
Ognisko miłości i łask, rozlewało
Zdroje swych promieni i wiecznego światła
Na morze i ziemię.

Dźwięk dzwonów powoli dolatał zdaleka
I jako łabędzia na wstęgach różowych,
Pociągał on okręt ku brzegom zielonym,
Ku siedliskom ludzi o strzelistych wieżach
Wspaniałego grodu.

Dziwie cudnej ciszy! O miasto błogości!
Nigdzie zająć swawolnych, ni zgiełku przekupni,
Ni zwad rzemieślniczych, ni kłótni zawziętych,
Na ulicach jasnych, przestrzeniach świetlanych,
Przeciągają ludzie w długich szatach białych,

Palmy niosą w rękach, a gdy się spotkają,
Poznają się wzajem i w miłości bratniej,
W samozapomnieniu całują swe czoła —
A oczy utkwivszy w promieniste słońce,
W słońce, które będąc, sercem Zbawiciela,
Rozlewa wokoło na wszechświat purpure,
Witają się słodko: — Chrystel bądź pochwalon!

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

Równina śniegiem jednolicie spojona, niby karta biała. Z czterech stron ciemną ramą bory ją objęły. Zza borów wschodziło słońce, za bory zapadało, a na karcie tej białej z bardzo wysoka — z nieba — widać było wypisaną nazwę i historią równiny.

Charaktery pisma różne były. W środku, niby runami odwiecznymi z kroniki przedhistorycznej, kreśliły się dwa wiersze — długie, gęsto zbite, ze starości koszlawe — dwa szeregi chat dymnych i niskich, rozdzielonych ulicą.

Nie było jeszcze historii i prawa, wiary i nauki, a one dwa wiersze już stały wypisane, i coraz trudniej ludziom nowym — treść ich wyczytać.

A potem przyszła władza i rzuciła opodal swą pieczęć: dwór z cegły i kamienia, a na pieczęci

tej — z bardzo wysoka, z nieba — czytać było można łacińskim duchem i głoskami:

„*Domini sum!*“

A potem przyszła religia, i na równinie wśród borów postawiła swój dom, naznaczyła go krzyżem, a z bardzo wysoka — z nieba — dom ten i krzyż miał kształty zgłoski starosłowiańskiej Ɔ.

A potem przyszło prawo, i młodą, świeżą pieczęć położyło na równinie — dla każdego czytelną i zrozumiałą.

Dom sądu i prawa, nowy, był biały, dla każdego otwarty, miał opodal jako zakończenie szkołę — jako wstęp domowstwo wielkie i obdarte, z podjazdem na słupach.

Z bardzo wysoka — z nieba — te trzy plamy — niby zgłosek trzy — kreśliły wyraz wielki, ale tajemniczy. A historia tymczasem pisała i pisała, zbierała dokumenta dziejów równiny, i księga jej czerniała wśród bieli i płaszczyzny pól — ostatni już z owych znaków: sosnami i jądłowcem okryte wzgórze piaszczyste, gdzie pokolenia po pokoleniach się kładły, synowie na łonach ojców, dzieci u boku matek, i dokumenta swych dziejów i życia, jako niepiśmienni znaczyli krzyżem, który opadał i nikł — jak pamięć po nich!...

Tak tedy te dwa wiersze runów, i te sześć plam, które z bardzo wysoka — z nieba — miały wyraźne kształty, zapełniły równinę. Bory oddziały ją od reszty świata, a nad nią wisiało niebo, zwykle siwe, krótko błękitne, i wisiała cisza, spokój, smutek.

Ktoby okolicę tę mijał, ten mógł się jej nazwy dowiedzieć z drogowskazu, co sterczał na rozstaju wśród wsi.

Stało tam: „Siolo Hrywda“ — a w cztery strony rozchodziły się drogi: na Północ do Zapрудy — na Wschód do Błotnian — na Południe do Końcycze — na Zachód — do Zamoroczenia. Gdzieś u kresów tych dróg były miasta, żelazne koleje,

cywilizacja, wiedza — ale z Hrywdy było tam bardzo daleko!...

Styczeń.

Nie było jeszcze dnia, ale już noc dobiegała końca — noc styczniowa, mroźna, dzika, tak ponura, że, patrząc na niebo i ziemię, zdawało się to niemożliwym, że przecie kiedyś będzie wiosna.

Nigdzie ruchu, nigdzie drżenia, nigdzie życia. Wieś zdawała się zamarzną i skostniałą na śmierć. Przez zamurowane mrozem okienka nie świecił nigdzie płomień ognia, psy nawet nie odzywały się, ani bydło nie ruszało w chlewach. W tej ciszy i martwocie skrzyp pierwszych drzwi rozległ się donośnie.

Jęczały-bo okropnie te drzwi na drewnianych zawiasach i z drewnianym skoblem, tak niskie, a z tak wysokim progiem, że wychodzący wypelzł zza nich, jak z nory, wpół zgięty — na podwórze.

Chata była, jak wszystkie: stara, bez komina, boczną ścianą zwrócona ku ulicy, frontem do podwórza.

Od ulicy miała plot i ogródek, gdzie sterczała grusza wpółdzika i bezlistna, słomianym powrosłem, kwoli rodzajności, opasana; od frontu miała też ogródek wąziutki, graniczący z sąsiednią zagrodą; w głębi podwórza — stodołkę i chlewy.

Chata była tak do innych podobna, że trzeba było w niej się urodzić, by nie zbłądzić, nie trafić do wrót sąsiada; trzeba było ją własnymi rękami postawić, by ją wśród stu rozpoznać.

Skrzypnęły tedy drzwi — i na podwórze wyszedł chłop. Wysoki był, barczysty, ale oprócz mięśni i skóry nic nie miał na grubych kościach, a na ciele jego od pracy pełno było guzów i wypukłości. Wyszedł, jak wstał z ławy i ze snu: w koszuli grubej i przedymionej, rozpiętej na piersi, którą zdobił krzyżyk mosiężny — w parcianych spodniach i bosi.

Mróż, który zabijał całą naturę, oślizgiwał się po nim jak po bryle kruszcu.

Bosi, z obnażoną piersią i odkrytą głową nie czuł zimna. Odwrócił oczy w stronę, z kąd słońce miało przyjść, i chwilę cucił się ze snu krótkiego a ciężkiego.

Młody był — złotawy blondyn. Złotawe były włosy nadzwyczaj bujne i długie, rzadko, a może nigdy nie czesane — złotawy, mizerny zarost na policzkach, złotawe oczy, zawsze, z nawyknięcia do słońca, — zmrużone.

Twarz była ciemnej barwy, o wydatnych szcękach i policzkowych kościach, z trochę bezmyślnym, trochę dobrotliwym wyrazem. Czoło niskie — mało miewało myśli, oczy — żadnego blasku, usta rzadkie znały uśmiechy i słowa.

Na skrzyp drzwi, gdzieś z głębi podwórka, zjawiał się stróż nocny: pstriokaty, szpetny kundel, i tracił chłopca w rękę, dając wiedzieć, że, jeśli drzemał, to bardzo lekko, i że gotów do wszelkich usług.

Chłopca rozbudziło to do reszty. Obejrzał się, i psa machinalnie pogładził.

— Idź — nagrzej się, Łyska! — mruknął, wpuszczając go do chaty, a sam drzwi zawarł i poszedł na gumno.

Otworzył jeden chlew: klacz gniada, grubopłaska, i zrebak dwulatek powitali go rżeniem, w głębi zabeczały owce. Otworzył drugi chlew: woły podniosły się powoli i, pyski ku niemu zwracając, wyglądały jadła; obok krowa i byczki niedorostki wyciągały szyje i szorstkie języki — wołając jeść.

Obejrzał każdą sztukę i wiśniowego „podręcznego“ po lśniącej szersci pogładził; ale gdy faworyt za nim na podwórze się napierał, pięścią go w brzuch uderzył i odpędził:

— Bodaj cię wilki popróły! — burknął, zamykając wrota.

Od obór poszedł ku stodole. Znowu zajączowały wierzeje. Stodołka prawie pustą była. Cep stał o ścianę oparty, na toku wczorajszy omlót leżał; w kącie pierwotny warsztat do sieczki; gdzieś w głębi — becзки z nasieniem wiosennem i reszta chleba.

Chłop się obejrzał i zamyślił markotnie.

Wtem od chaty głos się podniósł, kaszlący i zgrzyliwy.

— Kalenik, a nu, Kalenik!

— Aha! — odparł chłop, wracając na podwórze.

— Chodź do chaty, a żywo!

Poszedł, ale nie żywo, rozglądając się na prawo i lewo.

Już z kominów szły dymy, już błyskały okienka, już skrzypiały żurawie studzienne, i już tam, z kąd słońce przyjść miało, czyniła się jasność.

Zbudziła się wieś — zbudził się dzień.

Kalenik wszedł do chaty — do sieni raczej, zajmującej środek budynku.

Sień nie miała podłogi i pułapu, panował w niej zaduch kwaszonej kapusty i buraków, stały żarna, leżały pod ścianą kartofle, wisiały po ścianach pęki suszonych liści pod chleb, — obreże, szmaty najgorsze; w kącie zrobiono zagrodę dla owiec kotnych.

Kalenik otworzył drzwi nalewo i znalazł się w izbie.

Tam powietrze było jeszcze cięższe, przesiąknięte dymem, kwasem dzieży, tytoniem domorosłym i oddechami kilkorga ludzi. Tu spali wszyscy: gospodarze chatni, Kalenik, i troje dzieci; tu mieścili się też kury, czworo małych prosiąt — i miliony robactwa.

Już wszyscy byli na nogach. Gospodyni, kobieta niestara, krzykliwa i brudna, stała przy piecu i nastawiała garnek z wodą na zacierkę; dzieci rozczochrane i senne wyglądały bezmyślnie śniadania; gospodarz, chłop jeszcze w sile wieku, ale wątły i blady, mył się, to jest nabierał do ust wodę, wylewał ją ztamtąd na ręce, które remi wodził następnie po twarzy — mrużąc przytem paćerze.

Prosiaki wrzaskliwie dopominały się posiłku; kury z pod pieca rozchodziły się po izbie, gdacząc, a robactwo ze wszech szczelin i kątów biegło na ogień — zazierało do statków z resztkami wczorajszej wieczery.

— Mróż gwoździ jak na Mikołaj! — rzekł Kalenik — siana ani kłapcia. Trzeba w ostrowy dzisiaj jechać. Wyjmijcie diadku (stryju) pieniądze! Pośniadam, taj ruszę. Jedzie Syluków Kalistrat, jedzie od Żurawla Iwan: razem szmat drogi zrobimy!

— Po drwa trzeba jechać! — wrzasnęła gospodyni — obiadu wam nie zgotuję.

— Trzeba wziąć w lesie pańskim! — zdecydował stary, ocierając twarz i ręce połą świty i siadając na ławie. — Ty lżejszy, Kalenik, skoczysz wołami do lasu i schwycisz furę gałęzi; ja, cięższy, pojedę z pieniędzmi po siano. Ciebie żydy oszmania! (oszukają).

Parobek podczas tej rozmowy ubierał się. Z ławy, gdzie spał, wziął świtę, jedyne swe posłanie, i począł oplątywać nogi szmatami. Potem wsunął na nie lipowe łapcie i misternie zaszurował. Na zakończenie stroju opasał się czerwona krawką, wsunął za koszulę woreczek z tytoniem, fajkę, i był gotów.

Na dyspozycją stryja obejrzał się.

— Dacie pieniądze na drwa? — spytał. — Fura dwa złote.

— Nie dam. Albo ja taki głupi!

— To ja bez pieniędzy nie pojedę. Boh me! (Dalibóg). Trus ja do kradzieży. Raz sprobował — złapali: zaklął się drugi raz nie robić. Boję się, nie chcę!

— Durny ty! Albo to las sieją, orzą, żną! Albo-to pan sadił! Wyrosło darmo.

Ale Kalenik głową potrząsnął.

— Boh me, nie pojedę! — powtórzył uparcie. — Wy diadku do tego sprytuy, ja nie. Mnie, ani chybi, strażnik złapie.

Stary przyjął to jako pochlebstwo. Oczy i usta przybrały wyraz pogardliwego szyderstwa i tryumfu. Ruda głowa, twarz o wstrętnych rysach miała pozór złośliwej małpy.

— Oj sprytny ja, sprytny! Ale też i nie senny i nie hultaj. Zamłodu tom nigdy nocy nie dopa. Były też u mnie woły gładkie, kobyła jak harbutz pękata, drwa suche, a nasiona zagraniczne. A byle lato, ojoj, u mnie bywało korcy kilka gruszek i jabłek w komorze. Pan przez to nie zginął — czort pana nigdy nie bierze!

Chłopak wyrostek, blady, z zuchwałstwem i wczesną swawolą w oczach, zbliżył się do stołu i słuchał, ukazując w uśmiechu zawistnym rzadkie, ostre zęby. Był to syn gospodarza — „szkolnik“ Kiryk.

Dwoje młodszych dzieci: dziewczynka dziesięcioletnia i młodszy nieco chłopiec, wytrzeszczały także oczy na ojca, oczy już dorosłych i złych ludzi.

Baba śmiała się, wylewając śniadanie w misę.

— Oj, były to czasy, były! — mrużęła.

— I nigdy was diadku nie złapali? — zawistnie spytał Kalenik.

— Nie. Pan mnie do dziś dnia szanuje.

Parobek głową pokręcił.

— Ja trus! — rzekł.

Szkolnik pogardliwie nań spojrzął — i zaśpiewał:

Szedł ja, Hryc
Z wieczernic,
Ciemnej jednej nocy.
Siedzi geś ponad rowem,
Wytrzeszczyła oczy.

A ja do niej: „Hyla, hyla“ —
Jeszcze lepiej siadła.
Żeby nie kij, nie łomaka, (gałąź),
Była-by mnie zjadła.

Z dowcipu Kiryka zaśmieli się wszyscy. Był przecie uczonym rodziny, i chluba.

Kalenik ramionami ruszył.

— Ty, wrona! — burknął niewyraźnie.

Zacierka dymiała na stole. Zasiadli wszyscy do jadła, spożywając je powoli i zagryzając chlebem, który, białym ręcznikiem przykryty, leżał zawsze na rogu stołu.

Gospodyni założyła ręce i poczęła biadać:

— Dolo moja! Co roboty! Nie przedziona polowa lnu, a wełna cała leży. Gdzie ja rady sama dam na was pięcioro — obszyć, opruć, nakarmić!

— Ja gadał, że tak będzie, jakeście się uparli Hannę na jesieni wypędzić — rzekł Kalenik.

— Już twoja Hanna! Chłopcom z niej korzyść była, a nie mnie. Łajdaczka i hultajka!

— Taką gębę zimować — grzech — dodał gospodarz.

— Ożenić-by Kalenika — zaproponowała baba.

Chłop się oburzył.

— Zachciało się tobie, wiedzmo, wesele sprawić. A wieprzak jest? a pszenica na korowaj jest? a pieniądze na wódkę są? Skręciła się!

Kalenik swego zdania nie objawił. Skończył jeść, wstał, na koszulę włożył kożuch, potem dwie świty, podrapał się i fajkę zapalił.

— Czas mnie jechać. Dajcie diadku pieniądze na siano.

Stary, stękając, marudząc, poszedł do komory i dość długo nie wracał.

Szkolnik tymczasem ruszył do szkółki, dzieci dojadły resztki śniadania, gospodyni rozczyniała chleb w dzieży, wyrzekając na swą dolę.

Kalenik ogromny kawał chleba włożył sobie do torby, za pas zatknął siekiere i krzątał się po sieni, zbierając sznury, widły i grabie.

Słychać było, że rozmawiał z towarzyszami, którzy wstąpili wywiedzieć się: czy razem ruszą.

Nareszcie stary przyniósł pieniądze.

Zaczęli je liczyć, powoli, mozolnie, rozkładając kupkami na stole. Były tam stare papierki, srebro, wytarta miedz. Mylili się po sto razy w rachunku.

Gdy doszli wreszcie do porozumienia, parobek te krwawe grosze zgarnął do chustki, uwiązał, i zachowując tysiączne ostrożności, schował za wszystkie świty i kożuchy, na piersi. Potem razem wyszli do bydła.

Słońce, jak kula czerwona, już wypelzło nad ziemię. Wieś roila się ludźmi. W studni przy chacie Kalenika dziewczynka małaletnia, blada i mizerna, poila dwie pstre krowy. Zsiniałe jej ręce ledwie wyciągały wiadro. Chłopi stanęli, patrząc na to.

— Rozbij-no mi wiadro, rozbij! — krzyknął stary — rozbiję ja tobie głowę, ty Prytulanka!

— Nie rozbiję — odparła pokornie.

— Gładkie Huców krowy, jak myte! — cmokając językiem, rzekł Kalenik.

— Co mają być chude! Albo to jego potem karmione jak nasze, gospodarskie? Pańska pasza, pańskie siano, pańskie plewy, jak i oni wszyscy, — pańskie sobaki!

Mówił to, gdy z sąsiedniej chaty wyszło czterech ludzi. Wszyscy byli naschwał rośli i zamownie ubrani. Przodem idący stary był ojcem, tamci trzej, do siebie i do niego podobni, widocznie synowie.

Stary musiał posłyszeć słowa Kalenika, bo się zatrzymał i odparł bez gniewu, spokojnie:

— My pańskie, a wy czyje sobaki, Sydorze?

Potem na Kalenika spojrzął i dodał:

— Wy, słyszę, po siano ruszacie; szkoda, chciałem was do młócki konieczyny zaprosić.

— U nas doma dosyć roboty: możemy i was najać! — burknął stary niechętnie.

Sąsiad ruszył dalej. Teraz synowie go wyprzedzili i na przełaj, wydeptaną ścieżką, skręcili do dworu; on szedł ulicą wioskową i słycać było, jak wołał donośnie:

— Hej, chłopcy, dziewczęta, kto chce do młóckarni! Żywiej, zbierajcie się! Za mną!

Był to Kornilo Huc, gumieny dworski. Jego były te tłuste krowy, dorodni synowie, i chata sąsiadująca z zagrodą Kalenika, chata porządna, z kominem i większemi, niż reszta, oknami.

Kalenik ze stryjem zabrali się do roboty. Narządzili sanie, nakarmili bydło.

Teraz na wsi ludzie snuli się tu i tam: do dworu jedni, do lasu drudzy, do karczmy niektórzy. Kobiety, rozczochrane i zadymione przebiegaly z chaty do chaty, albo krzyczały do siebie przez ulicę. Mężczyźni małowmni i posępni, nie odzywali się do siebie.

Kalenik założył gniadą do sani, usiadł na nich niedbale, bokiem, przeżegnał się i wyjechał.

Towarzysze stali już pod karczmą — tam i on zajechał. Wódka była przedmiotem, który mu się uśmiechał, ale, jak każdy chłop nie pijak z professyi, nie lubił pić za swój grosz, a poczęstunku się nie spodziewał, więc nie wstąpił do środka, tylko wołał z podwórza.

Z chaty mizernej i małej, stojącej naprzeciw karczmy, wyszła w tej chwili dziewczyna z grabiami na ramieniu.

Wysoka była i zgrabna, świteczkę miała nową, chustkę białą na głowie, na nogach całe trzewiki. Zpod chustki na plecy spadał warkocz złocisto-płowy, nadzwyczaj bujny, uwiązany czerwoną tasiemką.

Kalenik popatrzał na nią i pozdrowił.

— Dzień dobry, Łucysia.

— Dzień dobry! — odparła, spuszczać oczy.

— Do dworu idziesz?

— Ale, do młóckarni.

— A co dają?

— Dwudziestkę.

— Mało. Nie warto robić.

— Będzie latem drożej — spokojnie odparła, jak pracownica doświadczona i cierpliwa.

Minęła go — i wtedy zobaczył ten warkocz przepyszny. Spoglądał na to żywe złoto — i przyszło mu na myśl, jak to sprawnie, bijąc kogo, obwinąć sobie te włosy około ręki — i zaśmiał się.

Nie on tego sprobuj, ale może Huców najmłodszy, bo i dziewczyna ta była wierną dworską sługą, córką starej samotnej kobiety, mieszkającej na pańskiej „pustce“ we wsi. Kobieta częstą tę odziedziczyła po mężu, który z wojska nigdy nie wrócił. Nazywano ją nawet, nie męzowskim, ale ojcowskim nazwiskiem: Maryanna Makuszanka, i na Łucysię wołano: Makuszanka.

Tymczasem chłopcy wyszli z karczmy. Ruszył Kalenik przodem, najpierw ulicą, potem traktem ubitym i sianem usłanym. Całą zimę Hrywda wozila tędy siano — pożerało ono cały letni zarobek.

Sanie biegły, jak im się podobało, zataczając się po drodze; ludzie wsuwali ręce w rękawy i nie kierowali końmi; każdy z nich duszę miał pełną troski i żalu po mozolnie zebranych pieniądzach.

Opodal za wsię spotkali starego chłopca. Czarny był, chudy, kościsty. Popatrzał na nich uważnie. Oni przed spojrzeniem tem spuszczały oczy. Każdy go z uszanowaniem pozdrowił, ale też każdy konia popędzał. Stary słowa nie rzekł, tylko

dziwnie się uśmiechnął i wrokiem ich przeprowadził.

— Kalenik! — rzekł Iwan Żurawel. — Widział ty?

— Nie...

— Przepadniemy w tej drodze. On nas policzył.

— Taj co? Lichego mu nie nie zrobili.

— Zobaczysz. Taki my nie cało wrócimy.

Inni, dalsi, potakiwali. Człowiek czarny wciąż szedł za nimi i wciąż się uśmiechał złowieszczo.

Znał on swoją moc nad wsią, znała go też cała okolica. Był to Czyruk Oksenty. Bano się go o tyle, ile poważano pozornie, bo on „wszystko znał“.

Było w Hrywdzie kilkoro ludzi, którzy: „coś znali“.

Był „kostopraw“ Łuhwyn Chryn, nastawiający zwichnięte lub połamane kości u bydłęcia i u człowieka; był Dmytro Borysiuk, co zamawiał krew; były baby „szeptuchy“ od wiatrów i kołtuna był zamawiacz gadziny Maxym Czmiel; były czarownice, co odbierały mleko; byli znachorzy od złych oczu i uroków.

Ale wszyscy oni niezem byli w porównaniu z potężnym Czyrukiem. Ten znał wszystkie „dwaście wiatrów“, ten czarował ogień i wodę, ten leczył każdą słabość, i narzucał choroby, tego słuchały kamienie i wszystkie żywy.

Sprowadzał on burze i posuchy, wróżył z włosów odnajdywał sprawców kradzieży, rzucał i „odczytniał uroki“; do niego ludzie szli i jechali o kilkanaście nawet mil — imię jego wymawiano z bojaźnią i czcią.

Widywali go ludzie latem, jak pszczoły czarował — iszły do niego roje ze wszech stron; widzieli, jak było jego, stracone kiedyś w lecie, wróciło w nocy pędem, jakby je „coś“ gnało; pożar, który przed laty wypalił całą Hrywdę, jego tylko chatę ominął, a w tej chacie były stopy pieniędzy i dostatków.

Czyruk w Hrywdzie był arcykapłanem czarnej wiary w siły tajemnicze, był lekarzem, sędzią, panem tej masy ciemnej a zabobonnej.

Rodzinę jego stanowił jedynak syn, parobek głupowaty, nędzny, chorowity. Żyli odludnie na końcu wsi.

Stary, oddany swym praktykom znachorskim, nie wglądał w gospodarstwo. Uprawiał rolę i karmił bydło ów syn, Tychon.

Długi czas parobcy jadący po siano rozprawiali o czarnym człowieku. Spotkanie jego wróżyło fatalnie.

Nareszcie wyczerpał się temat, mroz odbierał ochotę do gawędy, skulili się na saniach i umilkli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD MALARSKI.

(Słów kilka o impresyonizmie warszawskim).

Czy artysta może kłamać swemu wrażeniu i przedstawiać dany obraz inaczej, niż go czuje i widzi?

Może.

Oto dwa przykłady, z różnych dziedzin sztuki poczerpnięte.

Dziennik potrzebuje sprawozdania z uroczystości publicznej, noszącej charakter uroczysty a zarazem wesoły. Sprawozdanie to zleca jednemu ze współpracowników, który jest w swoim rodzaju artystą. Współpracownik znajduje się na owej uroczystości i odnosi to wrażenie zgoła nieprzewidywane: wrażenie nudy i smutku. Ale wymagania dziennika na obraz szczery nie pozwalają, więc ów artysta pióra, fałszując własne wrażenie, kreśli sprawozdanie, pełne patosu i wesołości...

A oto przykład drugi:

W danej chwili panuje moda na obrazy treści elegijnej, romantycznie ponure i cmentarnie Iza-we. Obrazy tego rodzaju najłatwiej znajdują pokup i uznanie. Artysta X. maluje elegie narówni z innymi, pomimo, że temperament, upodobania i cały nastrój nerwów i duszy ciągną go w stronę przeciwną: w stronę wybuchów wesołych, rzeźkich, jowialnych nawet...

Zarówno ten malarz, jak tamten pisarz należą do rzędu komezydentów sztuki i są rozmysłnymi fałszerzami wrażeń.

Fałszerstwa tego dopuszcza się portrecista, który modelowi swemu pochlebia; pejzażysta, który błękit nieba czyni *plus bleu que nature*; malarz koni, nadający polskimi mierzynom ognistość rumaków arabskich itp.

Grzech ten częstszym jest i pospolitszym, niżby się zdawało. Prawie każda ze sztuk pięknych obfituje dziś w podobnych kłamców, malujących czarno to, co przedstawia się białem, i odwrotnie. Źródłem tego grzechu jest przeważnie chęć zdobycia jaknajprędzej sławy lub doraźnych zysków. Artysta dzisiejszy, zanim siądzie przed stalugami, wpród idzie na rynek i pyta: jaki towar cieszy się tam popytem największym?

Patrzmy też na ciągłą wśród adeptów sztuki maskaradę. Koncepcista ubiera się w togę uczonego, mąż poważny płodzi krotochwile, duchy seraficzne nurzają się w błotku powszedniości, a gruby i sprośny Marcholt udaje zachwyt liryczny.

Przeciwno tej obłudze, która dla artystów dzisiejszych poczyniła już być drugą naturą, wystąpiła we Francji szkoła tak zwanych „impresjonistów“, poczynająca za jedną zasadę, obowiązującą w dziele sztuki: wrażenie, *impression*. „Maluj jak widzisz i jak czujesz“ — było hasłem pierwszych szkoły tej twórców — hasło piękne i rozumne, choć nie nowe, bo po wszystkie czasy szczerłość stanowiła w sztuce warunek konieczny. Impresjonista w tem znaczeniu bywał zawsze każdy artysta prawdziwy.

Na nieszczęście, słuszną i rozsądną w zasadzie metoda stała się niebawem, w rękach nieumiejętnych, przesadą i dziwactwem. Przedewszystkiem zacieśniono niezmiernie pojęcie wrażenia, rozumiejąc pod tem słowem wyłącznie: wrażenie optyczne. Następnie wprowadzono do sprawy tej nowe zawikłanie, usiłując w malowaniu obrazów trzymać się, nie oka, myśli, serca i natchnienia, lecz niedojrzałych hipotez fizycznych.

I stało się, że impresjonisci, mający być głosicielami prawdy, uznani zostali za kłamców wierutnych, że zamknięto przed nimi drzwi najwolnomysłniejszych wystaw, i że francuzki *bon sens*, umiający zwęszyć głupstwo pod najpoważniejszym przebraniem, wziął ich za cel pocisków złośliwych a dowcipnych. Pod sztandar impresjonizmu wpisali się całą bandą krzykacze bez zdolności, szarlatani, usiłujący za jakąbądź cenę zyskać trochę rozgłosu, i leniuchy, którym wygodniej było odrzucić lekceważąco naukę, niż ją sobie pracą mozolną przyswajać. W tłum ten zamieszała się także garstka ludzi naprawdę zdolnych, ale mniej lub więcej obłąkanych.

Malarstwo Polskie przez czas długi wolne było od tej francuzkiej słabości. Słuchając hasła monachijskich i rzymskich, które, mimo jednostronności swej, nigdy nie paczyły zasadniczych praw sztuki, patrzyło ono na łamańce paryżskich akrobatów i żonglerów malarstwa, jak na wybruki, których przyjmować poważnie nie należy.

Przyszedł jednak czas i na nie. Dwaj młodzi malarze, po szczęśliwych występach, wyjechali do Paryża „dla dopełnienia studyów“. Przebywszy nad Sekwaną kilka miesięcy, zamiast rozwinąć się, cofnęli, a co gorsza, przywieźli ze sobą niebezpiecznego *bacillus* i zaszczepili go na zdrowym dotąd organizmie sztuki polskiej.

Gdyby nie to, że malarze ci (pp. Podkowiński i Pankiewicz), poprzedzili utworami swymi stwierdzili rzeczywistą zdolność i poszanowanie pracy, całą tę sprawę można byłoby słusznie przyjąć milczeniem, wzruszeniem ramion, albo też głośnym wybuchem śmiechu.

Wszystko, co stworzyli oni dotychczas w duchu nowej szkoły, jest tak przesadnym dziwactwem i tak rażącą karykaturą, że niepotrzeba dłuższego

wglębienia się, aby cały „experyment“ ten odrzucić jako owoc zwyrodniały i niezdrowy.

Ten odłam impressjonizmu, którego wyznawcami głoszą się nasi artyści, opiera całą działalność swą na dwóch niewzruszonych (!) zasadach, stanowiących artystyczne ich *credo*. Pierwsza z tych zasad brzmi: „w naturze znajdują się wyłącznie barwy zasadnicze“, druga: „natura nie posiada zupełnie połyskliwości, jaką jej nadaje dotąd malarstwo olejne“.

W zgodzie z zasadą pierwszą używają oni wyłącznie kolorów czystych, nie mieszając ich z sobą; w zgodzie z zasadą drugą gipsują płótna przed malowaniem, co obrazy ich czyni matowymi.

Zbytecznym było-by dowodzić, że paradoxem jest zdanie o owej wyłączności barw zasadniczych. Z równą, a nawet większą, słusnością możnaby stworzyć zasadę, że „w naturze nie spotyka się zupełnie barw zasadniczych“, lub też, że „w naturze wcale barw niema“.

Trzeba być, doprawdy, obłąkanym, aby, patrząc, naprzykład, na pejzaż jesienny—jakich mnóstwo roztacza w tej chwili Październik przed oczyma każdego—twierdzić uparcie, że niema w nim więcej barw nad pięć, trzy czy dwie nawet. (Fizycy niejednokrotnie oznaczają ilość barw, na jakie rozkłada się promień słoneczny). Trzeba ulegać bezświadomie sugestji doktrynera-szarlatana, aby nie widzieć wspaniałej gammy chromatycznej kolorów, jakimi jesień maluje drzewa, łąki i pola.

Alboż, naprzykład, barwa, jaką ma zwiędły liść kasztana, istnieje w widmie słonecznym? alboż da się w niem odnaleźć barwa, jaką przybiera zaróżowione zachodem ściernisko? alboż należy do zasadniczych kolorów chmurki liliowej, pławiącej się w tle złotem—zielonkawej wody stawu, na którą zmierzch rzuca plamy atramentowe—rudej strzechy wiejskiej, pocentkowanej tu i owdzie srebrnymi aksamitnymi mchami?

Nauka może zasadę taką postawić i obronić ją; ale malarstwo nie powinno zapominać, że istota wszelkiej rzeczy jest dlań niedostępną i że ma ono na celu odtwarzać jedynie wrażenie, jakie świat zewnętrzny wywiera na oku i sercu artysty. Oko ludzkie do nieskończoności miesza i kombinuje barwy zasadnicze znajdujące się w naturze; powinien więc tożsamo czynić i pędzel malarza.

Nauka i sztuka kroczą drogami odmiennymi— a o tem często ultra-postępowi malarze dzisiejsi zapominają. Przytoczę na dowód jeden drobny przykład. Nauka zapomocą fotografii błyskawicznej utrwala na papierze najniepochwytniejsze ruchy ptaków w locie, koni w biegu i t. p. Młodzi malarze przenoszą ruchy owe wprost z fotografów na płótno. Czyniąc tak, sądzą, że ich to zbliża jaknajbardziej do prawdy; tymczasem są od niej dalej może, niż Adam'owie, Horacowie, Vernet i inni mistrze doby wczorajszej. Zelanci owi zapominają, że oko ludzkie ma skłonność do syntezy, i że nie jest ani mikroskopem, ani lunetą astronomiczną, ani przyrządem fotograficznym, i że dla niego owe subtelne pół-ruchy, ćwierć-ruchy itd. zupełnie nie istnieją.

Błędem jest również ze strony impressjonistów rozmyślnie matowanie płócien. Gdzie dowód na to, że nie w przyrodzie nie posiada naturalnego połysku? Ależ przeciwnie: w słońcu błyszczy wszystko,—zarówno wilgotny liść na drzewie, jak złotawy piasek odbijający promienie, zarówno dachówka kamienicy, jak twarz i odzież przechodnia, zarówno niebioso, które nie bez słusności zowią „kryształowemi“, jak drżące wiekiście fale eteru, w których ciepło ruch obudza. Gdzie tylko jest światło, tam jest blask i połyskliwość— a przecie bez światła malarstwo istnieć nie może.

Jeden z artystów, o którym mowa, wymalował po-impressjonistowsku „Targ na kwiaty w Paryżu“. Znam dobrze targ ów, któremu za tło służy pogańska architektura chrześcijańskiego kościoła pod wezwaniem św. Magdaleny. W pogodny, niebieski poranek wiosenny lub letni (ranki paryżkie sa wyjątkowo niebieskie), stopy kwieciana nagromadzone na targu owym przez przekupniów wytwarzają taką zawieruchę kolorystyczną, że oko wrażliwe mrużyć się musi, by nie osnęło. Wszystkie barwy, jakie posiada najbogatsza ze wszystkich paleta przyrody, grają tam tysiącami

jaskrawemi, rzucając odblaski ciepłe, przyjemne, podniecające. Wszystko tętni życiem, rozkoszą, świętecznością...

Cóż jednak z tego przepychu barw zrobił obłąkany pędzel artysty? Wystawę bukietów z bibułki, martwych, zimnych, surowych, kolorowanych przez farbiarza, ale nie przez przyrodę. Nieszczęsny gips, którym zagruntowano płótno, wydobywa się sam co chwila na wierzch, czyniąc gipsowemi twarze ludzi, płatki kwiatów, chmurki na niebie i kamienie uliczne. Zdaje się, że szkieletowa dłoń śmierci starła ze wszystkiego barwy życia i żywotności, kładąc wzamian piętno zniszczenia, rozkładu i martwoty.

Tenżesam artysta, czy też towarzysz jego (nie pamiętam już dobrze który), zaszedł dalej jeszcze w dziwactwie i doktrynerstwie. Zachciało mu się przenosić żywcem w dziedzinę malarstwa reguły fizyczne; wychodząc więc z zasady, że każda z barw zasadniczych kolocuje przedmioty sąsiednie barwą dopełniającą (czerwona zieloną, błękitna żółtą itd.), wymalował człowieka, który w oświetleniu lampy zielonej miał na wszystkich wypukłościach twarzy plamy szkarłatne! Czyniło to wrażenie wstrętnej, chorobliwej wysypki...

Bardzo ciekawemi i do reszty ośmieszającemi nową metodę są pejzaże, wystawione w Towarzystwie Zachęty i w Salonie artystycznym Krywulca, przez obu warszawskich apostołów impressjonizmu.

Pejzaże te pouczają nas o rzeczy nowej i niespodziewanej. Dowiadujemy się z nich mianowicie, że największymi mistrzami impressjonizmu, którzy na wiele lat przed Europą to źródło prawdy malarskiej odkryli, są... Japończycy!

Nieinaczej. Zarówno widoki Ojcowa pana Podkowińskiego, jak widoki Kazimierza nad Wisłą pana Pankiewicza są podobne bliźniaczo do malowideł zdobiących japońskie wachlarze i parawany. Taksamo brak im perspektywy powietrznej i światłocienia; tak samo drapią nerwy surowizną barw czystych; tak samo wreszcie przedstawiają w niedbałym, przypadkowym zmieszaniu kształty pierwsze lepsze, spotkane w naturze, bez wyboru i umiejętnego ustosunkowania.

W niektórych pejzażach pana Podkowińskiego jeszcze jakotako „połapać się“ można; malowidła zato jego towarzysza są istnemi rebusami. A rebusy te tem trudniejsze do rozwiązania, że ułożone z samych nieprawdopodobieństw. Błękitne drzewa, pomarańczowe łąki, zielone domy i różowe strumienie—oto ich części składowe.

Jest-że taki impressjonizm naprawdę impressjonizmem, to jest utrwalaniem nagorąco doznanego od natury wrażenia? Na pytanie to możnaby odpowiedzieć twierdząco w takim tylko razie, gdyby pp. Podkowiński i Pankiewicz odtwarzali na płótnie swe rzeczywiste wrażenia i byli względem siebie szczerzy. Ale mamy dowody na to, że tak nie jest. Dowodami temi: prace obu artystów sprzed epoki paryżkiej. Kto w roku 1886 czy 1887 widział „Targ za Żelazną Bramą“ w czystym i prawdziwym *plein-air'ze*, temu w roku 1890 „Targ na placu św. Magdaleny“ nie mógł przedstawiać się w ogniach bengalskich. Zachodzić więc tu musi świadome lub bezświadome kłamstwo w pierwszym przypadku lub w drugim. A ponieważ targowi warszawskiemu nikt zarzutu nieprawdziwości postawić nie może, obłudnym więc i skłamanym nazwać trzeba targ paryżki.

Z kolei zapytać-by wypadało: na co ta obłuda i to kłamstwo?

Rzecznikiem jakiegokolwiek idei wówczas tylko być można, gdy się w nią wierzy gorąco— a czyż taką miarę może mieć artysta, który, ogłaszając się sługą czystej prawdy, dopuszcza się jednocześnie rozmyślnego fałszu?

Gdy zatem miłość idei pobudką tu nie jest, cóż więc nią być może?

Cokolwiekbydz, przyznać trzeba, że jeżeli warszawscy impressjoniści postawili sobie za cel: zwrócenie na siebie uwagi ogólnej i zyskanie rozgłosu, celu tego dopięli w zupełności.

Jest jednak rozgłos — i rozgłos...

Wiktor Gomulicki.

LIST Z ANGLII.

Należy się łaskawym czytelnikom moim wiadomość o ostatnich dziejach stolicy Anglii, zwłaszcza, że łączy się z niemi wspomnienie o niepospolitej kobiecie, godnej czci ludzkiej, jakkolwiek tło, na którym postać jej się przedstawia, zabarwione jest oryginalnością, trudną dla nas do zrozumienia. Umarła tu niedawno tak zwana generałowa Booth: „matka armii zbawienia“, i miała pogrzech tak wspaniały, jak potentantka jaka, bo odprowadzał ją na miejsce ostatniego spoczynku orszak ośm tysięcy ludzi, a dodać należy, że siłą atrakcyi, która ściągnęła tu ten tłum; było przedewszystkiem uznanie pocziwej pracy dla dobra bliźniego bezinteresownie złożonej.

Anglia, posiadająca może najwięcej rozwiniętą cywilizacyą—Anglia, będąca Krezusem narodów, nieści przecież w głębiach swego społeczeństwa takie przepaści moralnej i materyjalnej nędzy, jakiej nie spotyka się nigdzie na stałym lądzie, a przemysł jej, mnożący niesłychane bogactwa, wytwarza drugostronnie proletaryat niewysłowienie ciemny i dziki, bez żadnych pojęć podnoszących człowieka nad zwierzę—stojący poza wszelkim wpływem oddziaływań etycznych i religijnych. Pijaństwo jest społeczną raną Anglii. Podkopuje ono, nietylko dobrobyt, ale doprowadza niemal do zdziczenia tłumy, żyjące w niewypowiedzianej ciemności, bez żadnych pojęć o Bogu i duchowych potrzebach Ludzkości, jak to usiłował wykazać szerszemu ogółowi wytrwały malarz obyczajów angielskich, Walter Besant, w tendencyjnej powieści swojej *Dzieci Gedeona*. Wschodnie dzielnice Londynu są taką otchłanią nędzy, zepsucia i ciemnoty, jak zachodnie błyszczą zbytkiem, wykwentem i chełpią się purytańską moralnością.

Ale Anglia, jak każdy organizm silny, umie się zdobywać na dzielne przeciwko chorobom swoim lekarstwa, i oto „Armia Zbawienia“ wystąpiła do „walki z dyabłem“ pod wodzą mężczyzny i kobiety: małżonków Booth, stawiających sobie za zadanie nie mniej, nie więcej, tylko wyrwanie ludu angielskiego z paszczy tych szatanów, które się zowią ciemnotą, pijaństwem i pojmovaniem szczęścia przez używanie zwierzęce. Może nigdzie na świecie nie dają się spotykać w dziejach filantropii takie fakta, jak w Anglii: takie śmiałe, na pozór szalone porywanie się jednostki na przedsięwzięcia kolosalnych rozmiarów—które się dokonują! Proboszcz niedużej parafii w Północnej Anglii, a należy tu dodać, że panujący kościół anglikański został przy wszystkich tytułach hierarchii katolickiej—patrząc na zepsucie ludu wśród wielkich ognisk przemysłu i widząc, jak lud ten, zaprzężony niemal od dziecka do tej najcięższej taczki pracy, która się zowie przemysłem fabrycznym,—ciemny, spracowany niemal jak bydło juczne—rzuca się potem na używanie zwierzęcych jedynie przyjemności, uniósł się szlachetnym zapałem zmienienia tego stanu rzeczy. Nie mogło to zostać dokonaniem w spokojnym, wygodnym kącie plebanii wiejskiej, więc Booth porzucił ją dnia jednego wraz z żoną i do kazania, jakie w parafii swojej miewał zwykle co niedziela z ambony kościelnej, stanął pewnego niedzielnego poranku na jednym z placów wschodniego Londynu.

Mówił donośnie, z zapałem silnego przekonania: więc jaki taki przystanął, aby posłuchać, bo w Anglii często się dzieją takie rzeczy: często reklama handlowa przemawia tak, jak i polityka, lub religia używa tego środka pociągania do siebie ludzi; tylko że Booth pracował tu wytrwale co niedziela—co niedziela głos jego grzmiał, uniesiony silną wiarą, w prawdę słów swoich, którą chciał przelać w serca słuchaczy. Wydał „wojnę dyabłu“, to znaczy, że ściagał gorąco niemoralność i pijaństwo, złe obyczaje i żądał, aby inni czynili to samo: tępli w sobie i w bliźnich to, co było w nich przeciwne woli, jaką miał Bóg, stwarzając człowieka na obraz i podobieństwo swoje.

Entuzyasta, zagrany ważnością posłannictwa swego, trafiał przez siłę własnego uczucia do serca innych ludzi — zagrzewał do walki ze złem, przyniósł zapaleń dla dobra i zaczął nietylko zyskiwać coraz więcej słuchaczy, ale wyrabiać sobie stronników — pomocników misji swojej.

Jak zwykle bywa w wypadkach podobnych, nowonawróceni grzesznicy okazali się najgorętszymi, zaczęli się stawiać apostołami słów jego. Ponieważ trzeba tu było nakazać jednym walkę ze złem, drugim obronę przeciw złemu, więc zawiązujące się stowarzyszenie utworzyło sobie nazwę *Armii Zbawienia* i wskutek tego dano jej organizacją jakoby wojskową: podzielono na pułki i korpusy; mianowano officerów, dano dla sygnałów bębny i trąby, a choć miało to pozór szarlatanerii, choć śmiano się z tego początkowo, ten, co stanął tu na czele, musiał wiedzieć co czyni: wiedzieć, jaką drogą trafić do tych umysłów ciemnych i stepionych, do uczuć niebudzonych nigdy poprzednio, bo dowodem tego jest powodzenie nietylko nadspodziewane, ale zdumiewające. *Armia Zbawienia* prowadziła tak swoje dzieło bojowania z szatanem — tak rosła w siłę moralną i materialną, że gdyby nie sprawozdanie, które d. 10 bież. miesiąca ogłoszono we wszystkich niemal pismach londyńskich, trudno-by było uwierzyć w coś podobnego. W r. 1877 *Armia Zbawienia* liczyła 25 korpusów, i miała 36 dowodzących nią officerów; w pięć lat potem są tu już 524 korpusy, jest 1.287 officerów; obecnie zaś 2.864 korpusów posiada 9.349 officerów, stale płatych wyłącznie obowiązkiem swoim oddanych, pełniących poświadczone dzieło walki ze złem: z pijaństwem, z zepsuciem obyczajów w Anglii i koloniach, to jest w 32 krainach, składających państwo Wielkiej Brytanii. A dodać trzeba, że podofficerów bezpłatnych, służących Towarzystwu z miłości dla dzieła, którego dokonywa, jest 13.600. Anglia właściwa liczy 1.377 korpusów, staczających miesięcznie 160.000 walk z szatanem, to jest odbywających zgromadzenia z kazaniem pod gołem niebem, co, jak wykazały rezultaty, jest najdzielniejszym środkiem, nietylko rekrutowania *Armii Zbawienia*, ale oddziaływania na uczucie i umysły mas ciemnych, o które tu chodzi.

Gdyby liczby podanego do dzienników sprawozdania nie przeszły przez kontrolę i potwierdzenie urzędowe, trudno-by było uwierzyć rzeczy, w obec której błędnie arabska powieść o lampie Aladyna, gdyż dodać trzeba, że *Armia* ma rocznego dochodu 750.000 funtów, to jest przeszło 6 milionów rubli. Posiada obok tego 24 „domy spoczynku“ i bardzo wygodne, wytworne nawet dwory wiejskie dla 240 officerów, z takimże celem odpoczynku i wzmacniania sił, starganych wśród pracy służbowej. W Londynie posiada *Armia* 30 koszar. Kształci się tam do służby officerskiej 400 kadetów — to jest młodych chłopców, których Towarzystwo wychowuje.

Kampanią na prowincyi, po wsiach i miasteczkach, prowadzi też *Armia* regularnie. Do „walki z dyabłem“ wyrusza ona na „fortach ruchomych“ to jest na przeogromnych wozach, urządzonych jak baraki obozowe, które zatrzymują się w miejscowościach, gdzie walka z szatanem zepsucia ma się stoczyć, a oryginalny ten pochód zaciekawia najpierw i ściągają ludność, do której przemawia się wtedy, podbijając jej uczucie i wyobraźnię dla celów swoich. Towarzystwo wydaje też dwa tygodniki i dwa miesięczniki. Z tych pierwsze rozchodzą się przeszło w 400.000 exemplarzy, drugich bije się 100.000.

Armia posiada i magazyny własne: to jest sklepy i pracownie wszelkiego rodzaju, gdzie jej członkowie zaopatrywać się mogą po cenach uczciwych w przedmioty potrzebne do życia. Oprócz tego wzniosła ona 36 „domów odsieczki“ to jest domów schronienia dla kobiet upadłych: pięć „redut“ czyli przytułków mogących dać nocleg 900 ludziom, pozbawionym dachu, oraz trzy jadalnie „baraki spożywcze“, wydające codziennie 20.000 porcy, mogących zaspokoić głód zdrowego człowieka.

W ubiegłym roku zapragnęło zaciągnąć się do *Armii* 3.000 osób, przyjęto przecież tylko 1.320. *Armia* rozszerzyć chciała działalność swoją na Francją i Szwajcaryą, ale tam powodzenie nie jest

wielkie, gdyż różnica charakteru narodowego stoi tu na przeszkodzie. Purytański nastrój umysłów, posępny w religijności swojej, stawiający wciąż przed oczy złego ducha i myśl o piekle, nie przypada do usposobienia ludów pochodzenia romańskiego, na które działać-by trzeba sposobem przeciwnym. Wyobraźnia uniesiona w sfery niebieskie, między świętych i aniołów — ekstaza zachwyty miłości Boga, dałaby więcej, wzruszając serca, porywając wyobraźnię, niż groza obrazów strasznych, przed którymi wrażliwa natura tych narodów cofa się w strętem.

Wkrótce po pogrzebie nieboszczki, którą mimo dziwaczności otaczającej jej iście ewangeliczną pracę, trzeba zaliczyć do niepospolitych i wysoce szlachetnych kobiet, bo umiała iść za mężem drogą poświęcenia, daleką od spokojnego istnienia, jakie mogła obiecywać sobie, zostając jego małżonką, wyszło w Londynie dzieło, określające już dokładnie, bo na podstawie liczb, jaką to była praca, którą dzieliła. Autorem jest sam Booth. Tytuł zapożyczony w części od Stanleya: „In Darkest England“, nie kłamie bynajmniej treści, przedstawiającej — jak pisze krytyka tutejsza, obrazy takich ciemnych otchłani życia, o jakich zapewne niewiele kto, poza wtajemniczonymi w te rzeczy, wiedzieć może. Książka została w pierwszej edycji tak prędko rozzerwana, że jej dostać już nie mógł, ale można się domyślić, że są to obrazy najciemniejszych stron życia ludzkiego — nieszczęść i nędz, które sprowadza za sobą, jak wykazuje autor, zła organizacja pracy.

Mieliśmy tu międzynarodowy kongres literacko-artystyczny, dwunasty z kolei. Otworzył go jak zwykle, lord-major Londynu. Celem kongressu była ochrona własności intelektualnej, która jest najprawdziwszą, najrzetelną własnością człowieka. Członków kongressu rozmaitych narodowości było 125 osób, znajdowali się przecież między niemi i tacy, którzy ową własność pojmowali nieco inaczej — dając jej trwanie tylko do śmierci autora. On tu dawał swoją pracę: pracę kształcenia się i czas, stanowiący część jego życia, ale gdy raz odszedł ze świata, nikt nie może sobie powiedzieć, że jest to własnością jego, co było tworzonym dla ogółu.

Do postępów cywilizacji nowożytnej niemałego znaczenia zaliczyć należy komunikację telefoniczną, która tu zapowiada się tak, że wkrótce odległość przestanie istnieć dla głosu ludzkiego — dla dźwięku w ogóle. Manchester już został połączony z Londynem, a jest to odległość 206 mil angielskich, i obecnie teatru tych miast: „Savoy“ w Londynie i „Princess“ w Manchesterze, urządziły między sobą linie komunikacyjne. Wkrótce mieć będziemy telefon łączący Londyn z Paryżem; przeciągają już nadpowietrzne linie miedzianych drutów, które połączenia tego dokonają. Podwójny drut zatopiony też będzie wkrótce między angielskim wybrzeżem (w hr. Kent) a francuzkiem, i twierdzić niemal można, że Paryż będzie mógł rozmawiać z Londynem przed końcem bieżącego roku. Są to przecież wszystko postępy dobrobytu materialnego, a gdzie jest ten, któryby się mógł nazywać zagojeniem starych ran, usunięciem starych kłesk, niesprawiedliwości i nieprawych dróg w dążeniu jednostek i zbiorowego człowieka? Irlandyi grozi kłeska głodu. Na zapytanie otrzymane w tym przedmiocie z Ameryki sekretarz stanu dla Irlandyi, Balfour, odpowiedział bardzo zwięźle, że przed zbadaniem dokładnym, jak wypadły zbiory kartofli, odpowiedź jest niemożliwą. Obawa ogólnej kłeski głodowej jest nieuzasadnioną, lubo przyznać trzeba, że niektóre okolice są nią zagrożone i rząd przedsiębiorze środki zaradzające złemu, gdyby niedostatek przechodził zasoby kas, przeznaczonych na udzielanie wsparć w razie kłeski głodowej. Na zgromadzeniu w Newcastle kilka głosów odzywało się także w tej sprawie i przytomny temu Balfour odpierał zarzuty czynione mu, że nie przyzywa do narad swoich tych mężów zaufania, których współdziałal w sprawie uspokoiłby obawy ogółu. To też poza tem wszystkim odbywają się narady nietylko w Irlandyi, ale w Szkocyi i Anglii, aby okrutne widmo głodu nie straszło nieszczęśliwej krainy. Składki płyną obficie i składane będą w ręce irlandzkiej ligi na-

rodowej. W Londynie, w klubie liberalnych członków, odbyło się dnia 17 Października zgromadzenie, na którym członek parlamentu Hunter wezwał do składek, i podpisy na wsparcie ligi irlandzkiej, doszły do poważnej summy 1.690 funtów. Można też powiedzieć, że dzisiejsze pokolenie angielskie zaczyna rozumieć: co się godzi, a co nie godzi. Przejście z Parnellem stało się kłeską *Times'a*. Sympatya znacznej części Anglików czystej krwi cofnęła się; prenumerata zmniejszyła się tak znacznie, że w ciągu jednego roku dywidenda ze 120.000 funtów sterlingów, spadła na... 12.000.

Mimo to szkalowanie Parnella nie ustaje. Oskarżono go, że jest złym, nieludzkim synem, że matce swej pozwała żyć w nędzy przecież; gdy korrespondent amerykańskiego dziennika *New-York Herald* zaczął ją zapytywać: jak się ma, jak jej się powodzi? zrozumiła, o co mu idzie, i wrzeszona wręcz przystąpiła do rzeczy. — Syn mój jest równie ubogim, jak ja — rzekła. Proces z *Timesem* pochłonął jego zasoby; z funduszu grosza publicznego nie wziął nigdy nic — nic na potrzeby własne. Podarek honorowy, który kraj mu złożył, 40.000 funtów, został użyty na zapłacenie długów i sprawę Irlandyi. „Karol Parnell — rzekła sędziwa matrona — jest tak ubogim, że nie mógł rozrządzać na razie w czasie pobytu swego w Dublinie summa 5 funtów.“

Kobieta mówiła o tem ubóstwie syna z taką dumą, jak inne matki chełpią się nieraz z majątku swych dzieci. Dlatego też syn ten jest takim, że ubóstwo jego może być dla niej szczęściem i tytułem do chwały.

Umarła w Edinburgu Marya Mackellan, poetka szkocka, bardzo szlachetnych uczuć i podniosłego natchnienia. Może uda mi się przesłać wam jaką z pięknych jej poezyi w przekładzie.

August.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

„AVE!“

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY.

(Dokończenie).

Krzyknął i zerwał się z łoża...

Noc jeszcze była cicha, spokojna, księżyc w liściu ubrał się czapkę i rzucał dokoła blaski przyćmione. Wiatr gdzieś usnął, zamarł szmer wszelki. Przezroczysta szyba stawu miała pozór wielkiego zwierciadła, w którym się odbijały: niebo i ziemia, dwa księżycy, dwa pałace, dwie równe linie nadbrzeża.

— Tak! ona chora... — szeptał Jerzy — i dla tego wzbronila mi wstępu do siebie, chcąc mi boleści oszczędzić. Ach! ona nie wie, że ta niepewność równa się śmierci powolnej.

Wyszedł na ganek i w dal spojrzął.

W spokojnych wodach stawu rysowały się ciemne kontury wspaniałych drzew parku; na brzegu przeciwnym nieruchomie stała łódka Ireney; zdawało się, że łabędź biały przytulił się do trzciny nadbrzeżnych i usnął.

Spokój... cisza!.. w biednej tylko głowie Jerzego rodziły się zwątpień upiory i uderzały w skrzydła trwogi. Iść zaczął — przeszedł groblę, most, i znajomą dobrze sobie drogą doszedł do małej furtki do parku wiodącej. Spróbował otworzyć: zamknięta była. Podparł silnem ramieniem... zawiasy trzasły, aż sędziwa zbudziło się echo i brytan strzegący wrot wjazdowych zawarczał.

Jerzy wszedł do lipowej alei. Skręcił nalewo, minął tunel wycięty w klombach brzościowych i stanął przed samym pałacem, u stóp marmurowych schodów, które na balkon prowadziły. Śpiąca w klatce zaskrzeczała papuga; żaden głos inny

nie przerwał ciszy, nie dał odpowiedzi dręczącym pytaniom, które w duszy jego wciąż się rodziły.

Na piętrze były pokoje Ireny. Jerzy oczy podniósł, lecz dojrzał tylko, że okna były otwarte, ale miały zapuszczone żaluzje. Wyteżył słuch...

Cisza, spokój! wszędzie cisza i spokój!

A tam?..

Może gorączką spalonymi ustami Irena wzywa go do siebie? może ją dręczy pytanie: dlaczego on nie przychodzi?..

— Ireno! — wołał w duchu — ja... tu jestem... twój kochanek, sługa, niewolnik twój!

Oparł czoło o zimne ściany pałacu, a z oczu lży mu biegły, duże, czyste jak jego pragnienia, lzy...

Nie wiedział, że płakał, ale jakiś ciężar spadł mu z serca. Zaczęło świtać, gdy wrócił do siebie. W ubraniu rzucił się na łóżko i usnął kamiennym snem.

Zbudził się, gdy słońce pół nieba już obiegiło. Zegar wiszący na ścianie dwunastą wydzwonił, dygotał głośno, ruszał wahadłem tak szybko, jakby czegoś się śpieszył, biegł...

— Dwunasta! — szepnął Jerzy, spojrzawszy na zegar. — Dwunasta... czy być może?.. Zegar się pośpieszył... tak! nie pamiętam, żeby tak szybko kiedy miotał wahadłem.

Wpatrzył się chwilę.

— Stój! — zawołał nagle — czyś oszalał?

Wyciągnął rękę i wstrzymał ruch drażniącego go zegara.

Mysłał był tam; zdawało mu się, że ten zegar liczy minuty jej życia.

— Co tam się dzieje? — krzyknął..

Wybiegł i krokiem szybkim, nerwowym, wszedł na dziedziniec pałacu.

— Hrabianka chora — zabrzmiała znów odpowiedź marszałka dworu.

— Ależ ja muszę się koniecznie widzieć z panną Florą. Ja muszę się z nią zobaczyć, choćby na minutę, sekundę jedną!..

— Madmozel — wyniosłym tonem odparł sługa pałacowy — karmi teraz papugi, a jej od tej czynności żaden tam pan Ławski nie oderwie.

— Błaznie! — syknął Jerzy, ale pana marszałka już nie było: wyszedł senatorskim krokiem, zatraskując drzwi za sobą.

Znowu męczący dzień jeden przeżył.

Nazajutrz, około godziny siódmej rano, zbudził go hałas niezwykły. Skoczył, przejęty jakimś uczuciem strachu. Roztworzył okno gwałtownie, aż szyby brzękły i strzaskane upadły na ziemię.

Spojrzał na pałac: było w nim cicho, ale na grobli unosiły się kłęby kurzawy; most grzmiął pod tententem kopyt, parskały konie, sunął pojazd za pojazdem, woźnice z biczów rznęli.

Wapowski, Dreimundtowie, zaprzęgi hrabiów Zatorskich, powozy księżny Tur... i jeszcze... i jeszcze... i jeszcze... Wjazdowa brama stała otwarta na scieżaj, służba w liberyi zjawiała się na balkonach dworu, powozy zatoczyły się pod pałac.

Oparty o futrynę okna stał Jerzy i wzrokiem obłąkanym patrzył na ruch szalony, jakim wrzał pałacowy dziedziniec. Rozstrojona myśl jego tworzyła obrazy grozy pełne strasznej. Przed jego oczami wirował świat, przesuwały się karawany trumien pełne, wiatr darł chorągwie, jakieś światła zapalały się, gorzały... czerwone jak krew. Tłumy pędziły szybko, jęk dzwonu zagrzmiął w powietrzu...

Później noc, ciemność, cisza...

Zachwiał się, pochylił i runął.

*

*

*

Za lasy i wzgórzka czerwone zachodziło słońce. Barwą roztopionego złota oblało w skwarze dnia pożółkłe trawy na łąkach, ślizgało się w rozbieg błyskawice po wierzchu, lekkim powiewem wiatru marszczonych, fal; kroplami złota kapalo z liści drzew ogrodowych. Łuk tęczy połowe nieba zajął, kwiaty operlne rosą, tylko co spadłego deszczu, kolorowe rozwarły kielichy, upajającą woń niosąc w błękity.

Zmierzch zapadał, gdy Jerzy otworzył oczy. Leżał na łóżku, dokuczliwy ból czuł w głowie, miał usta spalone...

Obejrzał się.

Nie sam był.

Kilku wiejskich gospodarzy, ojcowie synów, których uczył, siedzieli przy nim.

— Co wam, panie? — odezwał się jeden.

— Co wam? — drugi, trzeci zapytał.

Jerzy podniósł się, zdawał się zbierać rozpierzchłe myśli. Ranek był, gdy jakieś mary straszne po mózgu mu się snuły; teraz wieczorny zapadł zmierzch. Kilkanaście godzin życia spłynęło na falach nicości.

— Nic, bracia moi! — odezwał się głosem złamanym — nic!.. Padają dęby, wałają się mury twierdz, a cóż człowiek?!

Wyciągnął rękę i, ujmując dłoń najbliższego sąsiada, zapytał:

— Czy nie wiecie nic, co się tam dzieje, we dworze?

— Goście przyjechali do grafa, nasi i Niemcy.

— Goście!.. — szepnął Jerzy — na co ich tyle naraz?

— Ano, mówią, że w pałacu bal dzisiaj...

Ławski zerwał się, jakby poczuł nagle, że ziemia się pod nim zapada.

— Bal... — krzyknął — co ty mówisz?.. bal... dzisiaj!.. To coś innego być musi, coś innego... Ball.. czyś ty bal kiedy widział, na którym tańczą trupil!

Drżał — gniótł palce konwulsyjnie, aż w stawach trzaskały.

— Ano, nie wiem, tak mówią — szepnął gospodarz,

Ostatnim wysiłkiem woli Jerzy zapanował nad sobą. Chciał ukryć stan swojej duszy, choć czuł że mu serce tętnem swoim mówiło: pękne! Po kilku minutach walki wewnętrznej przybrał maskę, spokojny był... dla świata.

— Dziękuję wam — rzekł głosem pewnym — żeście mnie nie opuścili w chwilach choroby nagłej. Już dobrze mi jest, dobrze zupełnie... Do widzenia. Jutro rano niech dziatwa przyjdzie na nauki, wynagrodzę dzieciom dzień stracony... Żeg... naj... cie...

Zaczął się szybko ubierać, z jakimś gorączkowym pośpiechem. Choć cienie zapełniły każdy kąt niewielkiego pokoju, światła nie zapalił — znalazł przecież wszystko, co mu potrzeba było do wyszukanego stroju. Z lat dawnych został mu czarny tużurek; niedawno w bliższym miasteczku białą krawat kupił; po ojcu w spadku miał szpilkę złotą, z małym brylantem w główce. Nasunął na czoło kapelusze o rondzie szerokim i wyszedł.

Na ganku wstrzymał się i rzucił wzrok przed siebie.

— Co tam się dzieje? — szepnął — Boże!

Pałac jaśniał od ogni tysiąca, kryształowe szyby wszystkich pięter płonęły od jarzących się światel wewnątrz, fale bengalskich ogni zalewały park cały.

Ławski wyteżył wzrok; słuch... Z pałacowych komnat biegły dźwięki trąb i klarnetów.

Walc, rozkoszny walc, kołysał się na falach powietrza.

Jerzy skoczył i biegł przed siebie. Dopadł do ogrodowej furty, jedną, drugą minął aleję i nagle stanął.

W potoku tajemniczych światel, zalewających park cały, przesuwały się postacie mężczyźni kobiet. Nie ziemi tej mówiono językiem, ale brzmiał śmiech, karnawałowy śmiech jakiś. Przed okiem patrzącego przesuwały się maskary; stroje wydobyte z szatni zamierzchłych lat, spływały z ramion niewieścich i bark męzkich. Świat starożytny i Wieków Średnich z grobu powstał i rozpływał się, rozlał w tysiącach kształtów i barw w alejach ogrodu.

Maskarada!

Płoną ognie, grzmiały trąby, śmiejące się pary zbliżyły się do rozwartych drzwi pałacu i między ruchomymi kolumnadami wodotrysków, po kbierech kwiatów do wnętrza weszły.

Jak senny, albo olśniony widzeniem innego świata, stał Jerzy o dąb oparty w cieniach nocy ukrytej alei. Gdy bogi i błazny, arlekiны

i w lśniących pancerzach rycerze przeszli — ruszył się, chcąc iść pod mury pałacu, ale — z bluszczonej altany wyszła królewska para.

Jerzy zadrżał — głuchy jęk z piersi mu wypadł.

To była Irena — szła, a obejmowało ją ramię Wilhelma Dreimundta.

— Śmierć! — zawołał w duchu — i krokiem cichym, równym, jakby pogrążony w śnie lunatecznym, sunął się za królewską parą.

W parku nie było nikogo; tu i tam gasły wypalone ognie — pałac tylko wrzał dźwiękiem gędźb i gwarem tłumów.

Irena i Wilhelm skierowali się ku marmurowym schodom. Zajęci byli sobą, oddani tak sobie, że nie słyszeli kroków idącego za nimi. Jerzy nabrzmiał od krwi oczami ogarniał postać Ireny. Zatrzymała się, zwróciła do towarzyszącego jej mężczyzny. Cudowny jej profil zarysował się na tle drgających światel. Pochyliła głowę, cudnymi oczami patrząc w oczy Wilhelma.

Jerzy ryk stłumił, który w głuchych akkordach grał mu w piersi.

Zna on ten ruch, to spojrzenie!.. zna on ten czar, który mu dziś życie zabiera...

Nagle... tak! — może mu się wydało — ale król uchylił czoła, ona uniosła twarz wyżej... Może to potworna gra cieniów, szalbierstwo światel — ale jej usta dotknęły ust Wilhelma.

— Śmierć! — zawył już teraz Jerzy.

Myśl skryształizowała się w nim w konieczność czynu. Zanadto cierpiał, zanadto kochał, ażeby mógł żyć jeszcze.

Wilhelm i Irena weszli do wnętrza pałacu — Jerzy, jak cień, szedł za nimi. Obojętny na wszystko był, bo czuł w swym sercu śmierć, o której mówił. Nie złorzeczył, nie przeklinał tej, którą ukochał nad życie. Zabija go, ale mu darowała kilka chwil szczęścia. Chciał zobaczyć ją raz jeszcze — i umrzeć. Zbliżył się do kryształowych szyb pałacu przytulił czoło i patrzył. Musiał mieć zimne czoło, bo szkło go paliło jak żar.

Olbrzymia sala pałacu Wapowskich zmieniona została na starożytny cyrk Cezarów. U jednej ze ścian, na podniesieniu, stał tron. Patrycyusz w karmazynowych togach zasiadł półkolem ławy po obu stronach tronu, niższe miejsca zajęły maskary. Na tronie Augustów zasiadł baron Dreimundt w wieńcu cesarowym — Irena i Wilhelm znaleźli się w rzędzie patrycyuszów.

Twarz starego barona, otyła, bez zarostu, nadawała się może dobrze do roli, jaką miał odegrać. Rozparty, siedział na aksamitnym obiciu tronu, na widowisko czekając.

Dał znak...

Uderzyły bębny i trąby — drzwi się otwarły szeroko — i weszli zapaśnicy. Zastęp gladiatorów był liczny — szli z dumą przed tron imperatora. Na czele postępował Wapowski, za nim Zatorscy, dalej Turowie i jeszcze — i jeszcze... Zbliżył się do miejsca, na którym siedział Dreimundt i prawe ręce w górę podnieśli.

Oparty czołem o szybę stał Jerzy i widział rzecz całą rozgrywaną się przed jego oczami. Rozszerzył powieki — wpatrzył się, wsłuchał...

— Ave, Caesar! morituri te salutant! — zabrzmiało...

— Morituri te salutant! — jak echo powtórzył Jerzy... Mający umrzeć witają ciebie, a między nimi — ja... Ja? — krzyknął — ja, umierający... mam witać — ciebie?.. Z ostatnim tchem swej piersi rzuciłbym ci w oczy grot zabójczy — to moje byłoby — ave!..

— Umarli! — wrzasnął.

Długim echem głos poleciał — w każdy zakątek parku, każdy załom pałacu.

— Umarli! — powtórzył.

Świetnie się bal udał w starożytnym dworcu Wapowskich — zakończony zrękwiniami Ireny z Wilhelmem. Gięły się stoły od naczyń złotych, lały się reńskie win strugi, wojskowa kapela grała hymn niemiecki.

— Ave, Caesar! — powtarzały nad ranem jeszcze przeklęte echa parku.

*

*

*

W małym domku nad stawem tłoczyły się główki chłopaków wiejskich o włosach płowych. Z bladym uśmiechem na ustach, twarzą zapadłą i przygasłymi oczami, witał wchodzącą dziewczynę Jerzy Ławski.

— B-a, ba, c-e, ce... powtarzały dzieci, patrząc na zbrukane karty elementarza; jasne ich włosy złościły promienie wschodzącego słońca, które zatoczyło krąg wielki na niebie, wbiegło do wnętrza przez małe szybki okna, i duże, jasne, zająrzało w oczy nauczyciela wiejskiego.

Jerzy schyłone czoło podniósł — kilka łez zbiegło mu po twarzy — spojrzał w słońce:

— Ave! — szepnął.

K O N I E C.

Kronika działalności kobiecej.

— Organizujące się w Petersburgu rządowe biuro patentów, mające za cel wydawanie tychże patentów na wynalazki z zakresu nauki i przemysłu, ma pomieścić w zakładzie biegłych kilka kobiet, które oceniałyby użyteczność i praktyczność wynalazków z zakresu pracy kobiecej i gospodarstwa domowego.

— Główny komitet popierania handlu i przemysłu w Petersburgu zajmuje się, między innymi, rozpatrzeniem tych gałęzi przemysłu i handlu, które pozostają w ręku kobiet i tworzą tu wyjątkowo działalność kobiecą.

— Otwarta świeżo w Wilnie szkoła krawieczyny dla kobiet, zostaje pod kierunkiem kilku pań, obeznanych teoretycznie i praktycznie z tą gałęzią pracy.

— W Rydze „Towarzystwo młodych panien“ urządza wykłady dla służących, dzielące się na kilka kursów: krawieczyny, szycia bielizny, dozoru dzieci, kucharstwa, na koniec wiadomości z zakresu higieny.

— Z zapisu ś. p. Chojnickiego na udzielanie nagród dla sług, wyznania katolickiego, za długoletnią, nieprzerwaną i nienaganną służbę u jednego pracodawcy, stałych mieszkańców Warszawy, przypada w roku bieżącym nagroda dla kucharek. Wyznacza ją, wskutek podania, złożonego przez aspirantkę, Warszawską Radę Miejską dobroczynności publicznej. Pierwsza nagroda: za lat dwadzieścia służby, jest 150 rs., druga 75 rs., za lat 15.

— Przy szpitalu Dzieciątka Jezus z zapisu ś. p. hr. Rzewuskiej wzniesiony przytułek dla dwunastu osób, przychodzących do zdrowia, posiada na rok bieżący etat zatwierdzony przez Warszawską Radę Miejską dobroczynności w sumie 5.166 rs.

— Przybył naszemu jeden jeszcze zakład pożytecznych zajęć i zabaw dla dzieci: tak zwany „Ogródek freblowski p. Stefani Wilskiej“. Program zwykły: różne gry, gymnastyka, rysunki, plectenie koszyczków, lepienie z gliny, opowiadania pożyteczne, śpiew chórally. Opłata miesięczna rs. 3. Czy mnożąca się ciągle ilość podobnych zakładów nie przewyższy w mieście naszym potrzeb? bo zawsze przypuszczać należy, że korzystać z nich powinny jedynie dzieci matek, niemogących zająć się ich wychowaniem wskutek pracy na chleb, lub też dzieci osierocone.

— Wdowa po nauczycielu, p. P., otwiera czytelnia dla dzieci, przeznaczając na ten cel obszerną salę. Wypożyczalnia książek dla dzieci może być rzeczą bardzo pożyteczną, ale czytelnia — to jakoś zrozumieć się nie daje, jak urządzoną być może? Przypuszczając, że rodzice lub nauczyciele wyznaczą w katalogu książki, jakie zyczą sobie, aby ze względu na kierunek umysłu i jego rozwinięcie, stopień posiadanych wiadomości, mogły stanowić pożyteczne dla dzieci ich czytanie, to jakże będzie dalej? Czy czytelnicy

będą schodzić się tu i pozostawać z wolnością wracania do domu, kiedy chcą? — a w razie zaś gdyby towarzyszyła im matka lub ktoś z ramienia rodziców, czy będzie urządzona dla tych osób jakaś poczekalnia? Ale najważniejszą tu rzeczą jest: czy dziecko młode może korzystać z czytelnicy takich w sposób podobny jak dorośli: czytać dla korzyści naukowych, lub tylko dla rozrywki?

— Sklepy wiejskie lub małomiasteczkowe zaczynają coraz częściej powstawać, otwierane przez kobiety. „Gazeta Świąteczna“ donosi o dwóch takich zakładach w powiecie lubelskim. We wsi Jabłonie otworzyła sklep taki p. Błaszkiwiczówna przy samym trakcie lubelskim i dostać tam można obok wszelkiego rodzaju towaru po cenach uczciwie umiarkowanych i w gatunkach dobrych gotowy posiłek: kawę, herbatę, przekąski i jedzenie rozmaite. Sklep drugi w Krężnicy, założony przez M. Sokołowską z towarami różnymi, łączy się ze szwalnią dla kobiet wiejskich. Ceny są umiarkowane i roboty też nie brak nigdy i „Gazeta Świąteczna“ czyni uwagę, że gdyby te szwaczki warszawskie, którym często brak roboty nie pozwala, obok kosztów utrzymania w wielkim mieście, wyżyć wygodnie, osiadały po wsiach, szczególniejszej kościelnych, los ich polepszyłby się bardzo.

— We wsi Malińcu pod Koninem, własności hr. Maryi Kwileckiej, jej staraniem i zamilowaniem, powstał i utrzymuje się wspaniały ogród, o którym pisze korespondent z okolicy, iż stworzyły go, nietyłe kapitały wyłożone, bo o te wszędzie jest trudno w ciężkich czasach obecnych, ile „dbałość właścicielki“. Specjalnością ogrodu jest hodowla winogron kuracyjnych, tak umiejętnie prowadzona, że dojrzewają one co rok. Grona pojedyncze dochodzą wagi funta, a nawet półtora; jabłek jest 130, gruszek około 120 odmian. Drzewa szpalerowe chodzą się w 60, róże w 800 odmianach, a jakkolwiek kwiaty tych ostatnich nie mogą zostać zużytkowane na zbyt przez przesyłanie ich do Warszawy na bukiety, bo odległość 27 mil nie pozwala na to, przecież sadzonki ich rozchodzą się w znacznej ilości na różne strony. Ogrodnik w Malińcu, p. Paweł Garring kształcił się do swego zawodu w instytucie pomologicznym w Halli; nie to przecież nie ujmuje zasługi właścicielce, że on-to — jego wiadomości i praca doprowadziły jej ogród do takiej doskonałej produkcji, bo p. K. sama umiała chcieć, aby tak było — ona sama nie odwróciła potrzebnych tu kapitałów w kierunku innym: jej to więc dziełem i zasługą jest ogród w Malińcu. I to także do zalet tej pani zaliczyć należy, że wspomniany ogrodnik 22 lata pozostaje na miejscu. Tylko u dobrych: rozumnych i taktownych panów, pracujący tak długo utrzymać się mogą.

— W krakowskim klubie malarzy i rzeźbiarzy rozpoczął się kurs malarstwa specjalnie dla kobiet. Obejmuje on dwa oddziały: rysunku i malowania z żywej natury w połączeniu z wykładami anatomii, perspektywy i historii sztuki. Zgłoszenia się ustne i piśmienne przyjmuje wydział klubu, Ulica Sławkowska, Nr 1-szy.

— Krakowska rada miejska uchwaliła 1.400 zł. reńskich na urządzenie w zimie przytułku noclegowego dla kobiet, zwanego ogrzewalnią. Przytułek taki dla mężczyzn istnieje od lat kilku, a statystyka dowodzi, że od czasu urzędowania ogrzewalni sądy tamtejsze coraz mniej skazują ludzi ubogich za przestępstwo włóczęgowstwa i kradzieży.

— Założona w Krakowie szkoła sług liczy obecnie 321 uczennic. Nauczycielek udzielających tu lekcje bezpłatne jest 18. Szkoła ma bibliotekę swoją, w której znajdują się wydawnictwa p. Lucyny Ówerciakiewiczowej są szczególnie często wypożyczane. Do krakowskich szkół ludowych uczęszcza w bieżącym roku 2.953 dziewcząt, przewyższając o 630 liczbę chłopców.

— Marya Dulembianka zamieszkała stała w Wiedniu dla korzystania ze zbiorów galerii tamtejszych.

— Na tegorocznej wystawie paryskiej *Blanc et Noir* odznaczono bardzo pochlebnie prace p. Anny Bilińskiej. Podobnie się stało i na wystawie w Monachium.

— Francuzki malarki, a między niemi głównie M-me Bertaux, usilnie kołatają do podwojonej Szkoły Sztuk Pięknych przy Quai Voltaire, niechającej dać kobietom przystępu do przybytku swego, z czego szkoła tłómaczy się tem przez usta dyrektora, że kobiety mają własną szkołę swoją, należącą do zakładów narodowych. Szkoła ta, przy ulicy de Seine, fundacji kobiety: M-me Frère de Montizon, daje tylko naukę malarstwa stosowanego i właściwej sztuki — sztuki w wyższym stylu znaleźć tu nie można i wzbronienie kobietom przystępu do właściwej szkoły sztuki okazuje prostą zażdość rzemiosła, poniżającą artystów francuzkich.

— Na wystawie fotografii w Genewie liczba wystawców amatorów, między którymi przeważają kobiety, przewyższa znacznie fotografów z zawodu. Między wystawczykami wyróżniają się bardzo pięknymi fotografiami krajobrazów dwie panie: żona znakomitego geografu, Elizeuszowa Reclus, mieszkająca na wybrzeżu Jeziora Genewskiego, i Adolfowa Rothschild z Pregny w okolicach Genewy.

— Kobiety belgijskie zostały dopuszczone do słuchania wykładów uniwersyteckich, ale następnie nie będą mogły korzystać praktycznie z tej nauki w kierunku najbardziej dla kobiety przystępnym, ponieważ władze uniwersyteckie żądają przy dopuszczeniu do egzaminu na kandydata nauk przyrodniczych, (co jest pierwszym stopniem kwalifikacji, potrzebnej do zawodu lekarskiego lub aptekarskiego), dobrego świadectwa z sześciolletniej nauki średniego kursu łaciny i greczyzny, lub egzaminu z tych kursów, łącznie z łaciną i językiem greckim. Ponieważ w Belgii niema takiej szkoły średniej dla kobiet, gdzieby udzielaną była nauka tych języków, przeto zawody lekarski i aptekarski stają się niemal zamkniętymi dla kobiety, bo tylko osoby wyjątkowo zamożne mogą pobierać kosztowne lekcje języków klasycznych prywatnie.

— Siostra Róża Gertruda zaczyna upadać na zdrowiu. Przeżyła ona pewne walki w urzędzeniu działalności swojej przy objęciu zarządu nad szpitalem, którego jest przełożoną; przecież obecnie nie już nie stoi jej na przeszkodzie, tylko upadek sił. Lękają się: czy nie przyjdzie na nią ta kolej smutna, że zaraza udzieli jej się, podobnie, jak ojcu Damianowi, a wtedy czara jej poświęcenia dopełni się: będzie przebywać ciężkie próby męczeństwa, któremu tylko śmierć może położyć koniec. Przeczuwa to i onasama, ale mężnie i spokojnie to przyjmuje i nie wspomina o tem nigdy w rozmowie z pomocnikami swymi. Widać przecież, że czyni pewne przygotowania do śmierci, że myśli jak i kto zastąpi jej miejsce?

— Rzeźbiarka duńska, Katarzyna Kondrup, wykończyła grupę przedstawiającą Wiarę w naturalnych rozmiarach kobiety dobrego wzrostu. Obok anioł podaje jej w prawej ręce krzyż, u stóp klęczy młodzieniec modlący się ze złożonymi rękami. Dzienniki duńskie uważają to za największe dzieło kobiety w zakresie rzeźby.

— W Ameryce, w Stanie Nowego Yorku, mianowano ośm kobiet na posady inspektorek fabrycznych obowiązanych do zwiedzania fabryk, gdzie pracują kobiety, a rzecz to wielce pożyteczna i moralnie doniosła. Płaca ich jest 1.000 dolarów rocznie.

— „Kraj“ donosi bardzo pocieszającą wiadomość o zabiegliwej gospodarności kobiet z powiatu Wołkowyskiego, wymieniając, jako przykład, p. Maryą Ottonową Chodakowską, która przy stosunkowo niewielkich środkach prowadzi od czasu owdowienia swego, to jest przez lat 30, gospodarstwo włości swojej Mosiewiczze. Zaprowadzony tam ład gospodarczy, dobra uprawa pól, wzorowe utrzymywanie budynków, a jest ich 25, pieczołowita troskliwość o fizyczne i moralne potrzeby licznej czeladzi i osobistej jej służby, przeszło 50 osób, umiejętność w doborze i uczeniu zdolnych i uczciwych officialistów, sprężystość rąbów w połączeniu z łagodnością i pobłażliwą dobrocią serca — przedstawiają miły oku i sercu, godny naśladowania widok. Majętność tej pani nie jest obciążona żadnym długiem; przy szczerej gościnności niema tam nigdy ani cienia

zbytku, a w dodatku niejedyn z ziemian sąsiadów znalazł u niej w chwili potrzeby skuteczną i do-
rażną pomoc.

— Florencka akademja muzyczna przyznała wysoką nagrodę złotego medalu angielskiej kompozytorce Auguście Holm za kantatę „Beatrice“ i uczyniła ją swoim członkiem korrespondentem.

— Angielska autorka: miss Braddon, obecnie już M-rs Maxwell, zaprotestowała w dziennikach amerykańskich przeciwko nadużywaniu jej nazwiska, umieszczanego na utworach nigdy przez nią nie pisanych, a to w celu przyciągnięcia czytelników. Jest to nadużyciem tem przykrejszem dla niej, że utwory te są bez żadnej wartości literackiej i tylko odznaczają się sensacyjnością niskiego gatunku.

— W kronice działalności kobiecej, pomieszczonej w Nr 42, zaszła omyłka. Wykłady dla kobiet, rozpoczęte w d. 15 Października, nie odbywają się przy Muzeum Techniczno-przemysłowem D-ra Baranieckiego, ale na kursie dopełniającym przy szkole miejskiej wydziałowej w Scholastyce. Tam-to wykładają professorowie: Mieczysław Zaleski, Wiktor Erard Ciechowski, Hugon Zathay, Dr. Anatol Lewicki, ksiądz dr. Pawlicki, Dr. August Sokołowski, Ludomir Benedyktowicz, Dr. Czerny i Antoni Gettlich. Wykłady właściwe w Muzeum Techniczno-przemysłowem rozpoczną się d. 8 Listopada.

Z bieżącej chwili.

— Według dzienników petersburskich budowa kolei sybirskiej jest już postanowioną. Otwiera to bezpośrednią komunikacją z Oceanem Spokojnym a w dalszym ciągu ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki.

— Ogrodnicza stacya doświadczalna, urządzona w Syberji Wschodniej, doprowadziła do przekonania wskutek prób trzyletnich, że w tym nadmorskim kraju można prowadzić z rezultatem pomyślnym uprawę żyta, pszenicy, owsa i rozmaitych gatunków tytoniu. Płody te mogłyby następnie zaopatrywać Syberję Północną. Ustawa, określająca prawa bytu włościan i plemion miejscowych, będzie wkrótce przedstawiona Radzie Państwa.

— Komitet zbierający fundusze na rozszerzenie zakładu sierot imienia Jachowicza zebrał w ciągu bieżącego roku 9.000 rs., co przecież nie może wystarczyć na projektowane rozszerzenie budynku i zwiększenie administracji, gdy tymczasem przeszło stu chłopców oczekuje na przyjęcie ich do zakładu. Hr. Roniker zaprojektował bardzo trafnie takie choć rozszerzenie zakładu, na jakie środki posiadane starczyć mogą. Czy to wskutek nadmiernej ilości uczniów rzemieślniczych, oraz czeladników, czy też przez rutyniczne pilnowanie się zwyczajów, majstrowie nie chcą przyjmować na naukę chłopców z zakładu, a potem wykwalifikowanym już majstrom brakuje roboty, zatem hr. Roniker zaprojektował, aby zakład Jachowicza kształcił wychowanców swych przeważnie w kierunku rękodzieł wiejskich. Dzięki zabiegom p. Juszczyka istnieje o milę poza Warszawą, w rządowym lesie na pograniczu folwarku Drewnica, kolonia rolna sierot. Otóż hr. Roniker projektuje, aby zebrany fundusz obrócić na roz-

szerzenie owej kolonii i, umieściwszy tam chłopców kształcić ich na kołodziej, stelmachów, cieśli, ogrodników, bartników, wytwarzając pożyteczną i potrzebną dla wsi i miasteczek siłę rękodzielniczą. Zabudowanie drewniane na pomieszczenie ich wzniesione, nie pociągałoby wielkich kosztów, utrzymanie zaś wiele, bo o 50% tańsze, niż w Warszawie, a co rzecz najważniejsza, byłoby to dobrem zapewnieniem przyszłości chłopców.

— W Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności zawakowało stypendjum z zapisu D-ra Katarzyńskiego w summie 150 rs. rocznie dla studenta uniwersytetu Warszawskiego, wydziału medycznego, oraz zasiłek z zapisu ś. p. Tekli Rapackiej, 120 rs. dla rodziny kształcącej dzieci. Prośby przyjmują się do d. 6 Grudnia.

— Pomnik Królikowskiego, wykonany przez Syrewicza, został umieszczony na piedestale z odpowiednimi emblematami. Uroczyste poświęcenie dokona się wkrótce.

— Obraz Gersona: „Twardowski ukazujący Zygmuntowi Augustowi cień Barbary“ znajduje się na wystawie Krywulta.

— Z obrazu Alchimowicza „Milda“, znajdującego się obecnie na dorocznej wystawie w Monachium, będzie wykonana w Berlinie reprodukcya chromolitograficzna przez jedną ze spółek tamtejszych. Artysta otrzymał za prawo reprodukcji 400 marek. „Milda“, około nowego roku sprowadzona do Warszawy, należec będzie do konkursu imienia Gersona.

— Chór muzyczny dzieci, urządzony przez Towarzystwo Muzyczne, tworzy się szybko i zapewne z końcem bieżącego miesiąca będzie zorganizowanym. Kierunek obejmie dyrektor Noskowski.

— W teatrzyku na Czystem, za Rogatkami Wolskimi grono amatorów dawać będzie co Niedziela i Święto przedstawienia wyłącznie sztuk naszych pisarzy. Nastąpi to z początkiem Listopada.

— Wśród świeżo wyszłych wydawnictw, ukazał się zbiór nowel Konopnickiej pod tytułem: „Moji znajomi“, Bron. Grabowskiego dramat z podan ludowych „Boruta“; studjum psychologiczne D r Cullère, przełożone przez D-ra Walberga „U wrót obłędu“ Ant. Myszynskiej powieść „Marnotrawni“, Kalendarz Ilustrowany Ungra, Kalendarz Domowy Paprockiego. Przygotowuje się do druku pośmiertne wydanie dzieł Bohdana Zalewskiego, wśród których dział pierwszy pomieści: „Pyłki“, „Złota дума“ w trzech częściach: „Księżna“ (Hanna Różycka), „Książka“, „Pierwsza“ a wszystko, to było pisane w 1836 roku. Następnie pójdą poemata pisane w 1839 r. „Potrzeba Zbarazka“ i niedokończony utwór „Wigilia“.

— Na scenie wiedeńskiej ma być wskrzeszonych w ciągu zimowego sezonu kilka sztuk Molière'a.

— Członek komisyyi krakowskiej, czuwającej nad teatrem, Karol Estrejcher, ogłosił sprawozdanie z obrad tejszej komisyyi, w którym wyrażone jest żądanie, aby subsydya dla sceny krakowskiej podnieść o 2.000 zł. reńskich rocznie. Ankieta Wydziału Krajowego w kwestyi podniesienia teatrów krakowskiego i lwowskiego proponowała, a wydział, zbadawszy propozycje, postanowił przedstawić rzecz naradom sejmu, aby: I-o. Władza ta upoważniła wydział do rozpisywania co lat trzy konkursów dramatycznych z wyznaczaniem dwóch nagród: w kwocie 500 i 250 zł. reń. za utwory najlepsze. II-o. Aby wydział przeprowadził rokowanie z Towarzystwem Muzycznym we Lwowie w celu utworzenia kosztem funduszu krajowego przy konserwatorjum Towarzystwa oddziału dla kształcenia artystów w za-

kresie dramatu i opery. Żądano również, aby wydział przyjął oba teatra pod własny zarząd, co przecież uznano za rzecz mało praktyczną i zgodzono się tylko na udzielenie zdolniejszym aktorom stypendyów z celem, aby zwiedzali cenniejsze teatra zagraniczne. Wszakże to scena krakowska wyrobiła Modrzejowską, której talent tam rozwinął się tak świetnie i jest trwale uwielbiany. Występy jej obecne na scenie poznańskiej spowodowały znaczny zjazd z prowincyi. Obok sześciu zapowiadanych, obiecała grać jeszcze trzykrotnie: w „Maryi Stuart“, w „Adryannie Leconvreur“ i w „Mazepie“, w roli Amelii.

— Verdi pracuje nad wielką kompozycją muzyczną w nowym rodzaju oratorium operowego. Tytuł nowego utworu jest „Król Lear“. Arrigo Boito, który w części pewnej do nas należy, bo rodzi się z Radolińskiej, napisał już partycją na tle dramatu Szekspira. Verdi zamierzył napisać operę Romeo i Julietta, przecież zamiar ten zeszedł na plan dalszy jego twórczości. Maëstro przebywa w Sycylii w okolicach Palermo w posiadłości własnej *Santa Agata*.

— Sienkiewicz przelał prawo mianowania kandydatów na stypendya imienia żony swojej na prezesa Akademii Nauk w Krakowie, D-ra Majera.

— Dzieło Wł. Łozińskiego: „Lwów starożytny, kartki z historii sztuki i obyczajów“, zyskało niezmiernie pochlebną ocenę w pismach wiedeńskich. Szczególniej zwrócono tu uwagę na rzecz: „Złotnictwo lwowskie w dawnych wiekach.“

— Rafał Czelakowski zapisał na szkołę niższą dla głuchoniemych w mieście Suwałkach lub Łomży 30.000 rs. Przecież tylko procent od summy użyty być może; jeżeli zatem gminy wspomnianych miast nie dadzą domu na szkołę, otwarcie jej musi zostać odwleczonem aż do chwili, gdy nagromadzone procenta pozwolą kupić grunt i wznieść na nim odpowiedni budynek, co odracza rzecz pożyteczną nadługo.

— Na kongres międzynarodowy, urządzony staraniem rządu belgijskiego w kwestyi opieki nad małoletnimi przestępcami oraz nad kobietami, z więzień wypuszczonymi, żebrakami i włóczęgami, otrzymali w mieście naszym zaproszenie: A. Moldenhawer, Stefan Godlewski i prof. Miłkaszewski.

— Z Nowego Yorku przesłane zostało pismom warszawskim zawiadomienie, iż w d. 17 Marca b. r. umarł w Jersey City D-r Feliks Muklain (Muklanowicz) i cały swój majątek, 150.000 dolarów, zapisał Janowi Szczęsnemu Muklanowiczowi, synowi Henryka, zamieszkałemu w Królestwie Polskiem, w Tomaszowie. Przecież pomimo ogłoszeń o spadku w gazetach, a nawet na wezwanie listowne, wystosowane pod powyższym adresem, nikt się po spadek nie zgłosił, i raz jeszcze, a już ostatecznie, ponowionem zostaje ze strony władz amerykańskich ogłoszenie z zawiadomieniem, iż spadek znajduje się w depozycie banku stanowego: „The State Bank, Grand Street, New-York City, U. S. of America“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 15-ty powieści pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

TREŚĆ: Spokój, (wiersz) (z poematu Heine'go „Nordsee“, przekład A. Mieleszki). — Hrywda. Powieść przez Maryę Rodziewicz. — Przegląd malarski, przez Wiktora Gomulickiego. — List z Anglii, przez Augusta. — Kazimierz Gliński: **Ave!** obrazek współczesny (dokńczenie). — **Kronika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 15-ty powieści, pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 20 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Wycieraczka do piór ozdobiona haftem.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 43. (Kr. i desen pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 37).

Skrajać podług fig. 37 z bai koloru jasno i ciemno-zielonego, oraz jasno i ciemno-brązowego po jednej części złożonej wzdłuż środka. Wyciąć podług deseni kontury materyału ciemno-zielonego i przyszyć do tła jasno-zielonego ścięciem łańcuszkowym, jedwabiem ciemno-zielonym. Następnie na temże tle wykonać ścieg rybiej łuszczyki jedwabiem ciemno-zielonym. Wszystkie części wyciąć w ząbki i w zagłębieniach połączyć takowe razem.



Nr 3. Rekaw do ryc. Nr 4 i 6 (robota wiązana).



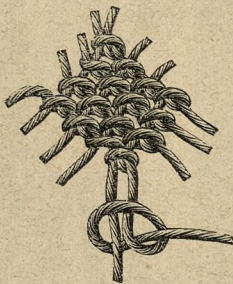
Nr 5. Szczegół do ryc. Nr 3.



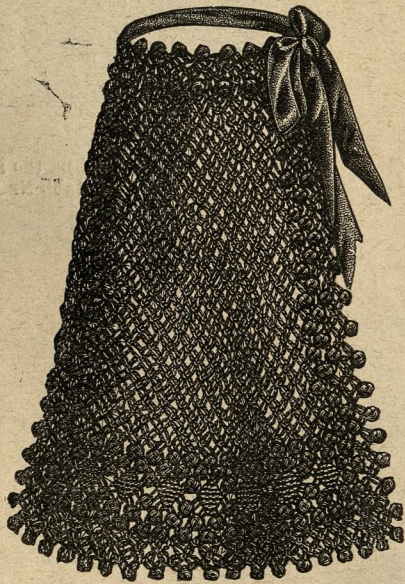
Nr 6. Szczegół do ryc. Nr 3.



Nr 1. Część gałązki do teczki Nr 8 (wielkość oryginalna).



Nr 4. Szczegół do ryc. Nr 3.



Nr 7. Fartuszek (robota wiązana).



Nr 2. Saszetka na chusteczki do nosa (malowidło ścieg płaski i pocztowy).



Nr 8. Teczka na fotografie i t. p. (malowidło i ścieg płaski) do ryc. Nr 1.

Pulsetki (robota szydełkowa).

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 43.

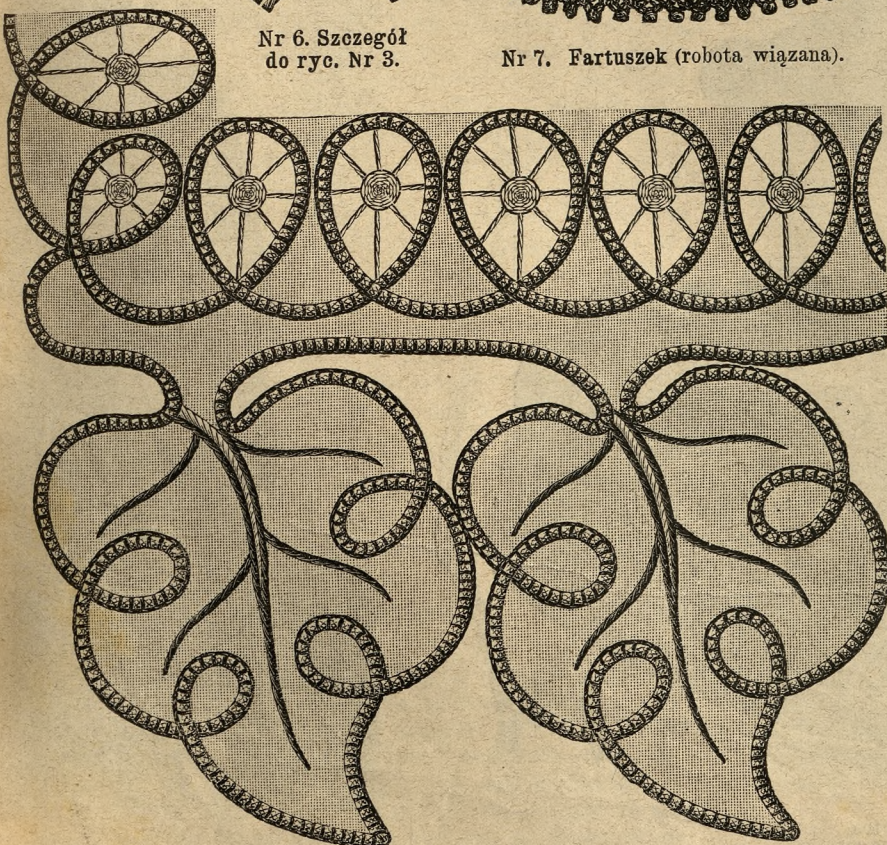
Pulsetki wykonane włóczką gobelinową koloru czarnego tam i napowrót na założeniu 72 o. — 1 kolej: o. opuścić, potem ciągle 1 pół sł. w każde ocz. — 2 kolej: 2 pow. o. *, zebrać o. z 2 z rzędu o., wykonać o. pow. i oba na szydełku będące razem przerobić, 1 pow. o., od * powtórzyć. — 3 kolej: 2 pow. o., o. opuścić, ciągle 1 pół sł. w tylne żyłki następ. ocz., powtarzać 20 razy 2 i 3 kolej, poczem w górnym brzegu wykonać na znajdujących się 36 o. tam i napowrót jeszcze dwie koleje tymże sposobem i na zbiorowych o. wykonać

które przerobić razem z poprzednim. 2 kolej: Na o. poprzed. kolei powracając, następ. śc. o. opuścić, * 6 śc. o. w następ. 6 o. (zawsze w tylną żyłkę), 3 śc. o. w następ. o., 6 śc. o. w następ. 6 ocz., ostatniego nie przerabiać, 1 o. opuścić, od * 5 razy powtórzyć; przy każdym powtórzeniu 1-sze śc. o. przerobić jak wyżej z ostatnim. Nakoniec 1 śc. łań. o. w 1 śc. o. tejże kolei i takowe przerobić z poprzed. śc. o. Wykonać tym sposobem 40 kolei, z różnicą, że w 30 kolei wykonać zamiast ostatn. 6 śc. o. tylko 5, a zamiast 1 o. 2 o. opuszczać. W 31 kolei ciągle zamiast 6 śc. o. wykonać 5 i 2 o. opuścić. W każdej następnej kolei wykonywać ciągle 5 o. śc. a 1 o. opuszczać. Rząd ząbków wykonać jak następuje po 42 kolei, * 2 pow. o., 3 sł. w środkowe o. następnych 5-ciu, 2 pow. o., 1 śc. łań. o. w 2 z rzędu o., 2 pow. o., 3 sł. w środk. z 3 śc. ocz., 2 pow. o., 1 śc. łań. o. w 2 z rzędu o., 2 pow. o., 3 sł. w 2 z rzędu o., 2 pow. ocz., 1 śc. łań. o. w o. znajdujące się w zagłębieniu, od * 5 razy powtórzyć. Górny brzeg: 1 kolej: * 1 śc. o. w środkowe następ. 3 o. założenia opuszczonych, 2 pow. o., 1 sł. w 2 z rzędu o., 2 pow. o., 1 podwój. sł. w 3 z rzędu o., 2 pow. o., 1 poczwórny sł. o. w zagłębieniu, w którym przerobiono w 1 kolei 3 śc. o., 2 pow. o., 1 podwój. sł. w 3 z rzędu o., 2 pow. o., 1 sł. w 3 z rzędu o., 2 pow. o., od * jeszcze 5 razy powtórzyć, nakoniec 1 śc. łań. o. w 1 śc. o. tejże kolei. — 2 kolej: 2 pow. ocz., potem ciągle 1 pół sł. w każde o., nakoniec 1 śc. łań. ocz. w 2 o. pierwszych 2 pow. o. tejże kolei. — 3 kolej: ciągle 1 śc. o. w każde ocz., nakoniec 1 śc. łań. o. w 1 śc. o. tejże kolei.

Pulsetki (robota szydełk.).

Rycina Nr 4 w Bl. Nr 43.

Pulsetki wykonane włóczką gobelinową koloru czarnego ścięciem żeberkowym. Dolny brzeg otoczony rzędem ząbków. Rozpocząć od górnego brzegu na założeniu 96 o. złączonych w kółko. — 1 kolej: * 6 śc. o. w następ. 6 o., 3 śc. o. w następ. ocz., 6 śc. o. w następ. 6 o., ostatniego nie przerabiać, 3 o. opuścić, od * 5 razy powtórzyć ale przy każdym powtórzeniu 1-sze śc. o. przerabiać razem z ostatn. poprzedniego deseni. Nakoniec 1 śc. łań. o. w 1 śc. o. tejże kolei,



Nr 9. Część haftu oryginalnej szerokości do ryc. Nr 18.

jedną kolej jak kolej 2-a. Następnie połączyć o. ostatniej kolej z oczkami założenia i dolny brzeg otoczyć rzędem ząbków jak następuje: 1 kolej: * 1 śc. ocz. w rząd o. przezroczystych, 2 pow. o., 2 śl. przedziel. 5 pow. o. w rząd o. przezroczystych, 2 pow. ocz., od * powtórzyć. Nakoniec 1 śc. łań. o. w 1 o. tejsze kolei.—2 kolej: * 3 śc. o. w następ. 2 pow. o., 7 śc. o. w następ. 5 pow. o., 3 śc. o. w następ. 2 pow. o., 1 śc. o. w następ. śc. o., od * powtórzyć, nakoniec 1 śc. łań. o. w 1 śc. o. tejsze kolei.

Ściereczka do kurzu (robotą drutową i szydełkową).

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 43.

Ściereczka wykonana średniej grubości bawełną koloru niewarowego. Brzeg zewnętrzny otoczony na przemian bawełną tegoż koloru oraz krętymi ponsowemi niemi. Rozpocząć na założeniu 121 o. na drutach i wykonać tam i napowrót 34 kolei zwyczajnie.—35 kolej: 18 o. zw., 85 o. odwr., 18 o. zw.—36 kolej: (prawa strona roboty) 20 o. zw., 81 odwr. 20 ocz. zw.—37 kolej: 18 o. zw., 2 o. odwr., 81 o. zw., 2 o. odwr., 18 o. zw.—38 kolej: 20 o. zw., 2 o. odwr., 77 o. zw., 2 o. odwr., 20 o. zw.—39 kolej: 18 o. zw., 2 o. odwr., 2 o. zw., 1 o. odwr., 8 razy naprzemian: 3 zw., 3 odwr., potem 3 zw., 25 odwr., 2 zw., 2 odwr., 18 zw.—40 kolej: 20 zw., 2 odwr., 25 zw. (na tych 25 zw. o. przypada znak) 8 razy naprzemian: 3 odwr., 3 zw., potem 3 odwr., 1 zwy., 2 odwr., 20 zwyczaj. — 41 kolej: pierwsze

Nr 16. Suknia z sukna (do ryc. Nr 17). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—9.



Nr 17. Suknia z sukna (do ryc. Nr 16). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—9.

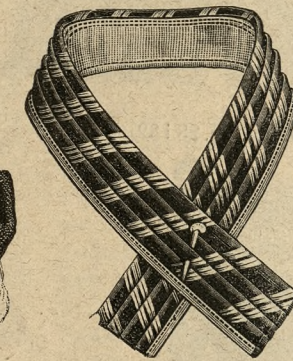


Nr 10. Rimsa na szyję z kraw. i wstążki.

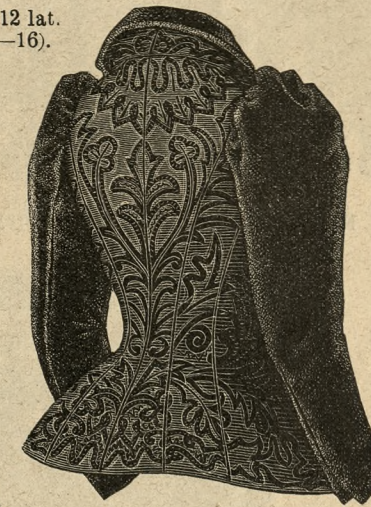
Nr 11. Kapeluszek dla panienci od 2—3 lat.



Nr 12 i 13. Paletot dla panienci od 10—12 lat. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10—16).



Nr 14. Szalik plisowany na szyję z materiału jedwabnego.



Nr 15. Żakiet ozdob. sutaszem (do ryc. Nr 2 w Bl. Nr 43) Kr., desen i op. 1-sza str. tabl. Nr VII, fig. 1—9.

przednią. Pukle z aksamitki odpowiedniego koloru wykończają całość.

Czapeczka dla chłopczyka.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 43.

Skrajać część okrągłą 36 c. obwodu z aksamitu ciemno-ponsowego, zmarszczyć w fałdy na około, w tylnej części mniej, w przedniej zaś bardzo ściśle. Brzeg wykonać na podkładzie z petynетки 55 c. obwodu. 4 c. szer. z przodu a 3 c. z tyłu. Podszycić lekkim jedwabnym materiałem i przybrać pomponami i sznurami ze szneli.

Czepek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 15 w Bl. Nr 43.

Foremka z petynетки 54 c. dług., w przedniej części 5 1/2 cent. szer., w tylnej zaś 2 c. szer. złączona w kółko. Otoczona drucikiem i wstążeczką białą jedwabną. Dno koronkowe przewlekane wstążeczką. Koronka 7 1/2 c. szer. ułożona podług ryc. Część przednia przybrana 3-ma rozetkami z wąskiej wstążeczki „bébé“ w kolorze bordo, różowym i zielonym.

Czapeczka dla dziecka od 2—3 lat (robotą szydełkową).

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 43.

Czapeczka wykonana szydełkiem, włóczką „zeifr“ koloru ciemno-ponsowego, ścięciem w rodzaju tunetańskiego. Otoczenie wykonane włóczką koloru popielato-perłowego w muszki, podszewka z atlasu ponsowego. Na dno czapeczki należy wykonać 5 pojedynczych części, z których tylne 4-y jednakowej wielkości; każda na założeniu 20 o. jak następuje: 1 rząd: (każdy rząd stanowi 2 koleje czyli tam i napowrót) zwyczajnym ścięciem tunetańskim. Różnicę każdego następnego rzędu stanowi to, że w powrotnym kierunku zamiast przerabiać o. w prostopadłej żyłce następnego rzędu, zdejmuje się z oczek łańcuszkowych tegoż rzędu. Takich rzędów należy wykonać 29, w 7 zaś rzędzie a potem w każdym 3 z kolei ujmować

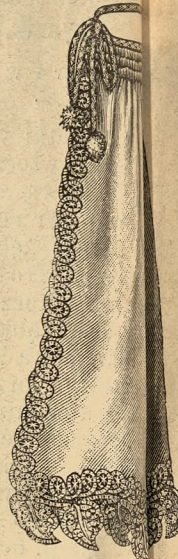


Nr 20. Kapeluszek z filcu. Nr 22. Kapeluszek z filcu.

Nr 21. Kapeluszek z futra. Nr 23. Kapeluszek z filcu.



Nr 24. Paletot z aksamitu. (Op. op.)



Nr 18. Fartuchkiem (do ryc. Nr 17).



Nr 19. Czapeczka dla panienci.

i ostatnie 18 o. zw., inne zaś przerabiać jak o. poprzed. kolei.—42 kolej jak 38. — 43 kolej: 18 zw., 2 odwr., 2 zw., 76 odwr., 2 zw., 2 odwr. 18 zw.—44 kolej: 20 zw., 2 odwr. 28 zw., 8 razy naprzemian: 3 odwr., 3 zw., potem 1 zw., 2 odwr., 20 zw. — 45 do 49 kolei jak kolej 41.—50 i 51 kolej jak 38 i 43. — 52 do 55 kolei naprzemian jak 40 i 41. — 56 kolej: 2 zw., 2 odwr., 1 zw., 12 razy naprzemian: 3 odwr., 3 zwyczaj., potem 3 odwr., 1 zw., 2 odwr., 20 zw. — 57 kolej jak 41. — 58 i 59 kolej jak 38 i 43.—60 kolej: 20 zwy., 2 odwr., 1 zw., 12 razy naprzemian: 3 zwy., 3 odwr., potem 4 zwy., 2 odwr., 20 zwy. — 61 do 65 kolei jak 41. — 66 i 67 kolej jak 38 i 43.—48 kolej jak 56.—69 kolej do 73 jak 41. Powtórzyć jeszcze 6 razy kolej 58 do 73 a potem jeszcze raz 58 kolej do 63. Następują 4 koleje w rodzaju 38 do 35, powrotnie i 34 koleje zwyczajnie, poczem oczka odczepić. Następnie otoczyć szydełkiem bawełną: — 1 kolej: ciągle 1 ścis. o. w każde o. (na rogach należy przybić), nakoniec 1 ścis. łań. o. w 1 śc. o. tejsze kolei. — 2 kolej: 4 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 1 śl. w 2 z rzędu o., 1 pow. o. a w rogu 2 razy 2 śl. przedzielone 2 pow. o. w następ. ocz., nakoniec 1 śc. łań. o. w 3 z 4 pow. o. tejsze kolei. — 3 kolej: niemi ponsowemi jak kolej 1. — 4 kolej: bawełną jak kolej 2. — 5 kolej: niemi ponsowemi, ciągle naprzemian: 1 o. zebrać z następ. o., 1 o. z 2 z rzędu o. i takowe razem przerob., 6 pow. o., 1 o. opuścić, nakoniec 1 śc. łań. o. w 1 o. tejsze kolei.

Kapturek damski.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 43.

Kapturek z białej jedwabnej w pasy, skrajany w kwadrat 72 c., ułożony na foremce z petynетки 35 c. dług., 10 c. szer. z przodu a 5 c. po bokach. Foremkę objąć drucikiem, pokryć krepą i przyszyć elastykę do spinań z tyłu na guziczek. Jeden róg materiału skroić okrągło na 43 cen. długości, otoczyć obrąbkami, co ma stanowić dolny brzeg kapturek i ułożyć na foremce podług ryciny w sposób, ażeby 1 róg przypałał na część



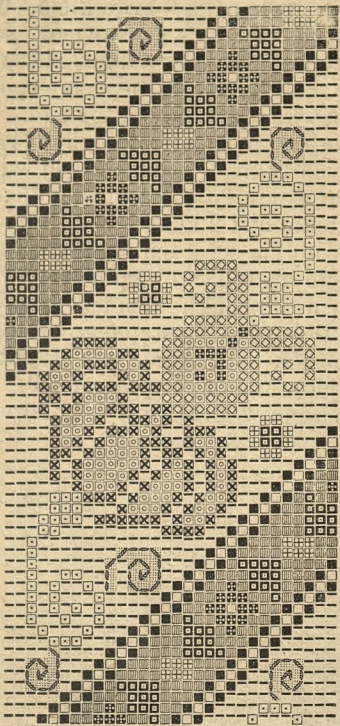
Nr 25. Suknia z aksamitu i materiału koronkowego. (Op. pierw. str. tabl.)

Nr 26. Suknia z bengaliny i materiału jedwabnego w pasy. (Op. pierw. str. tabl.)

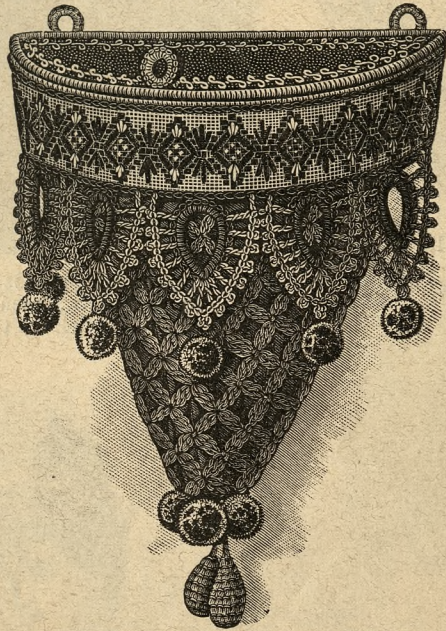
po jednym ocz. z obydwóch boków. Oprócz tego, w pierwszych 7 rzędach, należy przy rozpoczęciu każdego rzędu opuszczać 1 ocz. a przy zakończeniu 1 ocz. przybierać. Na część 5-ą przednią na założeniu 93 o. wykonać tak samo, 32 rzędy w jednakowej ilości oczek. Następnie połączyć części z pod spodu kolejną śc. łań. ocz. Brzeg czapeczki włóczką perłowego koloru, rozpocząć w poprzek na założeniu 8 o. Odmianę ścięgu tunetańskiego w wykonaniu muszek stanowi to, że w 1-m rzędzie powrotnym 2 o. jak zwyczajnie przerob. a następnie na muszkę wykonać 3 razy na przemian 3 pow. o. i następne 2 o. przerob. W powrotnej kolei 2-go rzędu przerob. 3 o., wykonać 3 o. pow., przerob. 2 o., wykonać 3 o. pow. i przerob. 3 ocz. Powtarzać ciągle 1 i 2 rząd (woryginale 42 razy). Następnie połączyć oczka ostatniego rzędu z ocz. założenia i dolny brzeg otoczyć



Nr 27. Serwetka. Ściąg płaski i krzyż. (do ryc. 28 i 32).



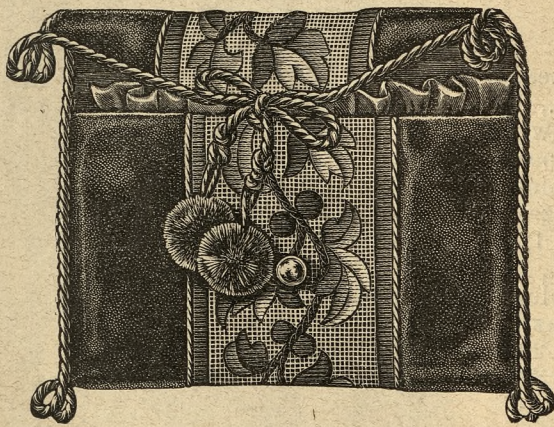
Nr 28. Deseń na serwetkę Nr 27. ■ ciemno-bronz., □ jasno-bronz., □ złoty, □ złoty, ■ ciem.-pons., □ jas.-pons., * ciem.-oliw., □ jas.-oliw., □ ciem.-nieb., □ jas.-nieb., ' tło.



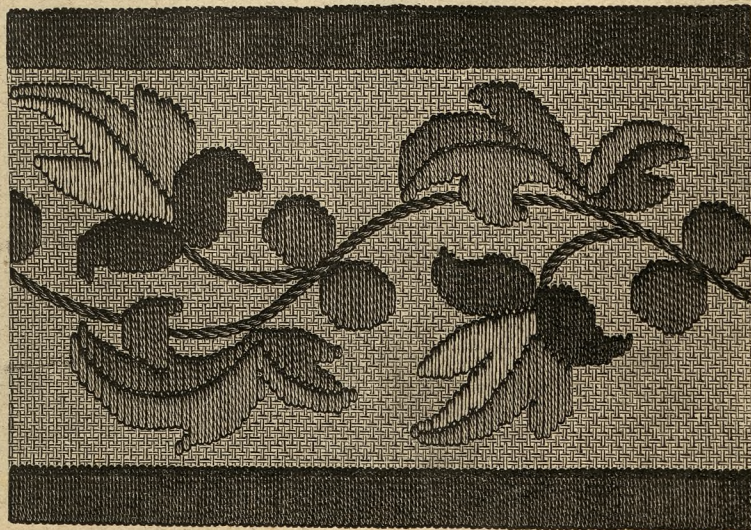
Nr 29. Torebka na ściereczki od kurzu.



Nr 32. Deseń do ryc. Nr 27.



Nr 35. Torebka ozdob. haftem płaskim (do ryc. Nr 36).



Nr 36. Część haftu do ryc. Nr 35 (wielkość oryginalna).

nym czarnym jedwabiem i zaopatrzony podszewką atlasową. Wykrój około szyi „en coeur.” Rękawy bufiaste z czarnego aksamitu.

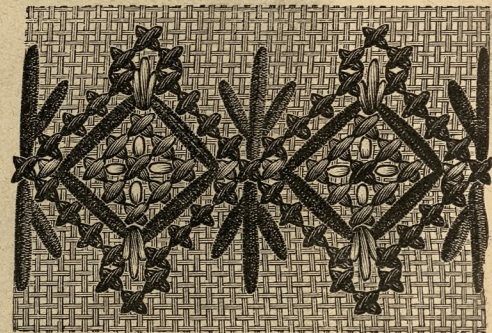
Przepisy gospodarskie.

Barszcz burakowy.

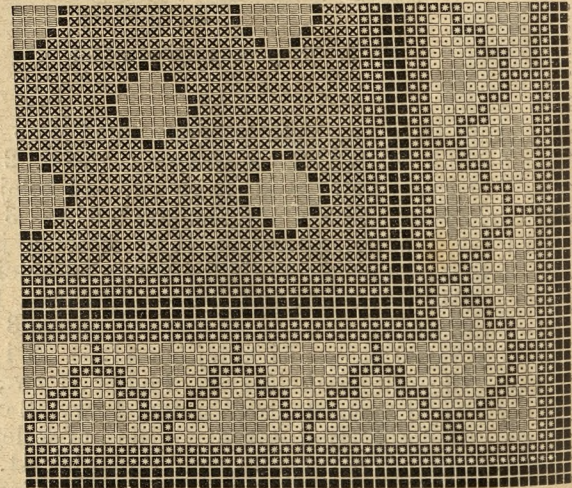
Tak bardzo lubiona i zdrowa zupa jak barszcz nie wszędzie jest dobrze podawana. Jest mnóstwo odmian i sposobów, podstawą jednak dobrego barszczu jak każdej zupy jest rosół, dalej kwas burakowy, z octem bowiem nigdy tak dobry nie będzie. Proszę się nie obrażać, piszę dla zupełnie nieświadomych — obrane surowe buraki przepolować, włożyć do 3 części w garnek gliniany lub dębowa beczkę, nalać wolną wodą, postawić w ciepłe kuchennem a na trzeci dzień będziemy mieli wyborny słodkawy-kwaskowaty płyn, który dolany do gotowego rosolu i raz jeden tylko zagotowany będzie wybornym czystym barszczem. Do kwasu



Nr 30. Monogram.



Nr 31. Haft do ryc. Nr 29.



Nr 34. Deseń na dywanik, podnózek, ścięciem krzyżowym. ■ ciem.-oliw.-ziel., □ jasno oliw.-ziel., □ niebieski, □ złoty, * ponsowy.

dolewa się wody, aby mieć nadal potrzebny barszcz, który jednak stojąc dłużej kwasnieje zbyt mocno, choćby nawet w chłodzie trzymany, otóż wtedy dla nadania mu słodczy buraki ugotowane lub upieczone do barszczu trzeba utrzeć na tarce, włożyć w sitko i przelewać je rosółem lub smakiem na barszcz przygotowanym wyciskając z nich dobrze łyżką sok czyli słodycz. Jest to wyborny sposób; jeden burak naturalnie się szatkuję do wazy.

Obiad na Niedziele.

Rosół ze świeżą kapustą, z pierożkami w drożdżowym cieście.
Sztuka mięsa z ogórkami.
Potrawa z kur z pieczarkami.
Kwicoły.
Jabłka w całości we francuzkiem cieście.

Tablica krojów dołączona do N-ru 43 Bluzki służy też do N-ru dzisiejszego.

tą samą włóczką po odwrotnej stronie, przerabiając przednie żyłki 1-ą kolejną śc. łań. o., po drugim zaś brzegu kolejną śc. ocz. włóczką ciemno-ponsową. Po złączeniu w tylnej części, zmarszczyć dolny brzeg wszystkich 5-ciu części i połączyć ze szlakiem ścięciem obrzucanym. Górny brzeg czapeczki zmarszczyć i zakończyć guzikiem pokrytym aksamitem. Podszewkę z atlasu skroić 6 części, każda 10 c. wdole szer. i 18 cen. wys. ścięte w szpic, połączyć takowe, zaopatrzyć podkładem i wszyć w czapeczkę.

Paletot z sukna i aksamitu.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 43.

Paletot z sukna koloru popielatego, ozdobiony haftem maszynowym, wykona-